Cena 5 zł

ŚWIETLICA KRAKOWSKA

dwutygodnik

Nr 10 | Kraków, dnia 15 października 1945 r. | Rok I



JAN KASPROWICZ

BJ C

Cisza wieczorna

(Fragment)

Płonie kamienna Tatr korona,
A cisza siada między granie,
Rozleniwiała, rozmarzona.

Nad przepaściami nieba stanie,
Senność przelewa w mgieł opary,
Po skałach wiesza zadumanie.

Ani się ozwie bór prastary:
Ona milczeniem gniecie smreki,
Unieruchamia ich konary.

Przez cały przestwór, przez daleki,
Głuchą za sobą tęskność wlecze,
Snać dźwigającą wieki... wieki...

Za nią, jak zdrój, co ledwie ciecze,
Snują się ciężkie myśli człecze...

Spółdzielczość społeczną formą gospodarki

Wiele miejsca i czasu poświęca się w czasach obecnych sprawom spółdzielczości. Forma spółdzielczego gospodarowania nie jest formą nową w Polsce. Od 100 lat idea jej zwolna rozwijała się, znajdując w klasie pracującej w pierwszym rzędzie swych zwolenników.

Obecnie ta forma gospodarki, obok państwowej zajmuje w Polsce przodujące miejsce.

Spółdzielczość bowiem to forma pośrednia pomiędzy gospodarką prywatną, a państwową, to forma niewątpliwie postępowa i demokratyczna w porównaniu z kapitalistyczną gospodarką. W okresie powojennym, kiedy spekulacja przybiera szczególnie ostre kształty, spółdzielczość nabrała większego znaczenia. Jest to bowiem forma zbiorowej gospodarki, gdzie rola kapitalistycznego pośrednika zostaje wyrugowana, przez co można nabywać produkty po cenach tańszych. Kapitałem zakładowym przedsiębiorstwa spółdzielczego jest suma składek członkowskich. Są spółdzielnie, które operują pokaźnymi zasobami pieniężnymi, w oparciu o drobne, lecz liczne członkowskie składki. Dochód z przedsiębiorstwa po rocznym bilansie zostaje częściowo zużyty na powiększenie spółdzielni, a częściowo rozprowadzony między udziałowców.

Rozróżnić należy w zasadzie trzy typy spółdzielczości, jakie u nas wpływają na całokształt gospodarki, a to: Spółdzielczość wytwórczą (przemysłową), spółdzielczość spożywczą i spółdzielczość pracy. Inne rodzaje spółdzielczości, jak spółdzielczość kredytową, księgarską i inne można podporządkować pod któryś z tych rodzajów. Szczególnego znaczenia nabiera rola spółdzielczości na wsi. Tu rozwijają się w sposób żywy spółdzielnie Związku Samopomocy Chłopskiej. Problem wymiany między miastem i wsią zwłaszcza, jeśli chodzi o produkcję przemysłową i rolniczą, jest pomyślnie, rozwiązywany drogą spółdzielczości.

Przemysł rolny poprzez spółdzielnie wytwórcze Samopomocy Chłopskiej obraca się w ramach ogólnej gospodarki państwowej, a spółdzielczość spożywcza stara się zaopatrzyć chłopa w przedmioty codziennego użytku, co usuwa konieczność nieraz kosztownych i dalekich wędrówek do miasta.

Daleko nam jeszcze do osiągnięcia tego stanu gospodarki, by w ramach ogólno-państwowych planów zgodnie pracowała wieś z miastem. Lecz droga, po której zmierzamy, świadczy, że rugujemy z naszego życia charakterystyczną dla gospodarki kapitalistycznej żywiołowość i wyzysk pracy ludzkiej, a zdążamy poprzez upaństwowienie wielkiego przemysłu i poprzez społeczną formę gospodarki, jaką jest współdzielczość do demokratycznych form gospodarki, gdzie praca ludzka nie jest przedmiotem wyzysku jednostek, lecz służy dobru ogólnemu i podniesieniu dobrobytu szerokich mas społeczeństwa.

To też zrozumienie wśród obywateli polskich dla spółdzielczości jest duże i wzrasta z każdym dniem.

Nie powinien się w Polsce znajdować ani jeden obywatel, który by nie był członkiem jakiejś spółdzielni.

Tędy bowiem wiedzie droga do potęgi i znaczenia Polski na arenie międzynarodowej.

I. P.

ADAM WŁODEK

PRACA

Muszę kawałki dachu plecami wynieść na dach.

Trzydzieści członów przyniebnego ciała
w me ziemskie ciało
chce wgnieść się jak w słabe krokwie.
Krok
każdy
w górę
załamany zmęczeniem — jak cofanie.

(A jednak sprawię:
brunatna żonglerka dachówek
spojona mocnymi chwytami —
zostanie!)

Nagle
szara robotnicza troska
nabiegła buntu krwią:
— dlaczego nie będę mieszkał w domu,
gdzie w cement wmieszałem mój pot — —

(1942)

Rok pracy Milicji Obywatelskiej

W dniu 7 października 1944 r. ukazał się dekret K. R. N. o uprawomocnieniu Milicji Obywatelskiej. 7 października 1945 r. minął więc rok pracy Milicji. Aby zrozumieć ile wysiłku, ile trudu i poświęcenia kosztował ten rok, trzeba zdać sobie sprawę z warunków, w jakich znajdowało się nasze, zrzucające z siebie okowy 6-letniej niewoli, państwo.

Równocześnie z wypędzeniem okupanta z ziem, położonych po prawej stronie Wisły, wyszły z lasu oddziały partyzanckie A.L. Skończyła się ich wojna podjazdowa, a zaczęła służba obywatelska. Kraj, przez który przewalała się po raz drugi lawina wojny, pustoszał w dalszym ciągu, narażony na wyniszczanie przez znajdujących się jeszcze po lasach dywersantów niemieckich. Bliskość frontu stwarzała warunki sprzyjające bezprawiu. Korzystały z nich elementy nieuczciwe, rabujące mienie prywatne i państwowe, nie cofające się nawet przed mordem. Partyzanci A. L. rozpoczęli teraz już walkę jawną, walkę o ład, porządek i bezpieczeństwo w kraju. Samorzutnie zaczęły powstawać placówki M. O., których organizacją zajął się gen. Witold, Szef Sztabu A. L. w Lublinie. On to stworzył w sierpniu 1944 r. w Lublinie Komendę Główną Milicji Obywatelskiej, sam mianowany Głównym Komendantem.

W organizowaniu aparatu bezpieczeństwa obóz Demokracji Polskiej musiał zrezygnować z współpracy wyćwiczonych policjantów „granatowych", gdyż byli oni na usługach reżimu przedwrześniowego, a w czasie wojny okazali się podporą najeźdźcy. PKWN dekretem z dnia 15. IX. 1944 r. rozwiązał policję granatową. W pierwszych tygodniach istnienia, na skutek trwającej wojny nie było żadnych możliwości regularnego zaprowiantowania i umundurowania szeregów Milicji. Milicjanci głodowali, sypiali po dwie godziny na dobę, w lokalach biurowych, wykonywali swe obowiązki w mundurach, w jakich wyszli z lasu. Gdy poprawiły się warunki egzystencji, do milicji zaczęły zaciągać się różne elementy. Niestety nie zawsze byli to ludzie czystych rąk. Trzeba było przeprowadzić ścisłą selekcję i zorganizować aparat polityczno-wychowawczy, kształcący przyszłych milicjantów w duchu prawdziwe-

go patriotyzmu, nienawiści do wroga, i jedności z narodem. Dążąc do usprawnienia pracy milicyjnej i do wychowania kadr fachowych, Komenda Główna uruchomiła wiele kursów przeszkoleniowych. Dla najdzielniejszych milicjantów otwarto podwoje szkół oficerskich. Szkolenie odbywa się bezustannie.

Milicja Obywatelska poszczycić się już dziś może dużymi osiągnięciami zarówno w walce z przestępczością, jak i pracą społeczną (pomoc w żniwach). Rozpoczynając drugi rok pracy obywatelskiej ma Milicja do spełnienia obok zadań podstawowych, zadania dopilnowania i wspomożenia chłopom w akcji siewnej, w akcji ściągania kontyngentów i repatriacji.

Rozumiejąc doniosłą rolę, jaką odgrywa Milicja Obywatelska w organizacji państwa, nie wątpimy, że społeczeństwo przyjdzie jej z pomocą zarówno w walce z przestępczością, jak i w akcjach gospodarczych. *(h)*

My i Czechosłowacja

Zacznijmy od historii. Nie trudno będzie stwierdzić, że królowie polscy nie umieli wyzyskać swego najbardziej na zachód wysuniętego sąsiada słowiańskiego — monarchii czeskiej, celem stworzenia zapory przeciw niemieckiemu pochodowi na wschód. Historia polsko-czeskich stosunków była raczej historią kłótni i sporów dynastycznych, targów i bijatyk o Morawy i Śląsk, nie próbą chociażby szukania wspólnej drogi. Wprawdzie biła się dzielna piechota czeska pod Grunwaldem, lecz było to jedyne wspólne i niestety bezowocne zwycięstwo nad wspólnym wrogiem. Więcej żadnych prób uniemożliwienia niemieckiemu „Drang nach Osten" tak, ze strony naszej, jak i Czechów nie było.

Zapłacił za to naród czeski wielowiekową niewolą, zapłaciliśmy i my rozbiorami. Oba narody prowadziły niezłomną walkę o prawo do własnego życia państwowego, z tą jednak różnicą, że gdy myśmy się zrywali z orężem w ręce — Czesi budowali własny stan posiadania gospodarczego, społecznego i kulturalnego. Nam nie pozwoliły ulec powstania, Czechom praca.

Po odzyskaniu niepodległości przez oba narody, mimo, że interesy obu narodów, racje stanu nasza i Czechów nie przestały ani na moment być zbieżne — przez całe dwadzieścia lat stosunki polsko-czeskie wbrew usiłowaniom mądrych i szlachetnych jednostek z jednej i z drugiej strony, nie uległy zasadniczej poprawie. Nieporozumienia przekształciły się w wyraźną wrogość po objęciu rządów u nas przez sanację. Ukoronowaniem tego stanu rzeczy stał się hańbiący współudział polskiego rządu w rozbiorze Czechosłowacji w październiku 1938 r. Cały prawie naród polski cierpiał głęboko w owe dni, których goryczy, smutku i wstydu nie zdołały rozprószyć krzykliwe zwycięskie fanfary oficjalnych obchodów. W konsekwencji błędnej polityki pozostaliśmy sami u swych granic.

Bieżący moment dziejowy wytycza znowu nam i Czechom wspólną drogę, oraz sąsiednie miejsca w rodzinie demokratycznych narodów. I nasze i czeskie drogi spotkały się na zachodnich prastarych ziemiach słowiańskich. Dla nas Czechosłowacja jest zasadniczym czynnikiem bezpieczeństwa naszych zachodnich granic i stałym składnikiem naszego stanu nad Odrą i Nysą. Oba państwa mogą stanowić przedmurze całej słowiańszczyzny w razie ponownego zalewu germańskiego, stając się tym samym ważnym czyninkiem bezpieczeństwa zbiorowego w Europie.

Nie mamy dziś z Czechami żadnych różnic, żadnych rozbieżności interesów. I my i oni budujemy swe państwa na zasadach demokratycznych w nowym, demokratycznym świecie. Mamy te same interesy u naszych granic zachodnich, bo skazani jesteśmy na tę samą czujność. Mamy jednakich przyjaciół i sprzymierzeńców na Wschodzie i Zachodzie. Geografia, związki plemienne i dziejowe determinują w tym samym stopniu naszą jak i czeską politykę.

Chodzi tylko o to, abyśmy stali się przyjaciółmi. Aby jednak nasza przyjaźń mogła istnieć naprawdę, trzeba usunąć wszystko to, co w przeszłości przeszkadzało zbliżeniu obu narodów. My możemy już dzisiaj stanowczo stwierdzić, że ze swej strony przeszkody usunęliśmy całkowicie. Zerwaliśmy bowiem radykalnie z antyczeską polityką w słowach i czynach. U nas u władzy są te siły, które w okresie jeszcze przedwojennym w programie swoim jako jeden z czołowych punktów wysuwały hasło sojuszu polsko-czeskiego i do realizacji tego sojuszu obecnie szczerze dążą. Nie może więc być żadnej wątpliwości u naszego czeskiego sąsiada: chcemy naprawdę przyjaźni, nie widzimy żadnych powodów aby kontynuować niesnaski, które okazały się w skutkach tak katastrofalne.

Stwierdzić jednak musimy, że sytuacja jaka obecnie na Zaolziu zaistniała, wcale nie ułatwia sprawy przyjaznego ułożenia się stosunków między obu państwami. Napływają wieści o szykanach, jakie się stosuje przy zapisywaniu dzieci do polskich szkół, o licznych ograniczeniach, jakie nakłada się na tamtejszą ludność polską, o polityce wynaradawiania. Co smutniejsze: dotychczas byliśmy przekonani, że antypolską politykę prowadzą tylko szowinistyczne żywioły czeskie, ale po fakcie jaki zaistniał w Ostrej Horze, jesteśmy zdezorientowani. Formalnie nie chce się wierzyć, żeby do manifestacji domagającej się bezprawnie przyłączenia do Czech Raciborza, Kłodzka, Głupczyc i Górnego Śląska, przemawiał wicepremier Czechosłowacji Dawid, a prezydent Benesz przesłał powitanie dla manifestantów. My oczekujemy od szczerych demokratów czeskich ukrócenia prowokacyj reakcjonistów, gdy ci zaczynają się z nimi solidaryzować.

Nie tędy droga! My odpowiemy jednym: chcemy aby w myśl podstawowych zasad demokratycznych, według których odbudowuje się cała Europa, ziemie zamieszkałe przez Polaków należały do nas. Każde inne rozwiązanie będzie niezgodne z elementarną sprawiedliwością i dla nas nie do przyjęcia. Nie chcemy zaostrzać antagonizów narodowych, ani podkopywać przepaści między narodami. Chcemy rozwiązania sprawy po sąsiedzku w przyjaznej atmosferze i przy obopólnej dobrej woli w imię wspólnego dobra, w imię przyjaźni obu narodów!

Konstanty Ostrowski

Prenumerata „Świetlicy Krakowskiej" wraz z przesyłką pocztową wynosi miesięcznie 9 zł. Zgłoszenia prenumeraty należy przesyłać do kolportażu Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik", Kraków, Wielopole 1 lub we wszystkich urzędach pocztowych na konto IV—476.

Hiszpania z prawa i z lewa

Hiszpania — ostatni bastion faszyzmu w Europie, znalazła się osamotniona w ślepym zaułku. Reżim gen. Franco praktycznie jest wykończony. Naród hiszpański nie chce więcej znosić rządów prawicowo-wojskowych i stosowanego według wszelkich wzorów hitlerowskich terroru. 9 lat dyktatury hiszpańskiej Falangi doprowadziły kraj do zupełnej ruiny gospodarczej, której nędzę przykrywa się jedynie uroczystościami na pokaz.

Gen. Franco był pierwszą ofiarą państw osi, złożywszy broń przed przemocą faszyzmu niemiecko-włoskiego. Demokratyczne państwa Europy wolały wtedy pogodzić się z utratą tego przyczółka na Morzu Śródziemnym, niż stanąć wobec ryzyka dwuznacznego utrzymania demokratycznej Hiszpanii. Przekonało ich o słuszności rozumowania, zachowanie się gen. Franco w czasie wojny 1939—1945 r. Hiszpania rzekomo na zewnątrz neutralna łamała raz za razem tę neutralność, wysyłając chociażby osławioną „błękitną dywizję" na wschodni front, zwłaszcza na Białą Ruś, gdzie jej żołnierze znęcali się nie tylko nad partyzantami, ale i nad bezbronną ludnością. Czymże, jak nie łamaniem neutralności, było dostarczanie węgla i innych surowców państwom osi, zezwolenie niemieckim łodziom podwodnym na bazowanie w portach hiszpańskich. Wspomnieć należy bezustanne manifestacje Falangi z okazji zwycięstw niemieckich do ostatniej niemal chwili załamania się Rzeszy.

Dopiero zupełna klęska Niemiec, przetarła oczy gen. Franco. Zdał on sobie wreszcie sprawę z sytuacji, że na złą kartę postawił, gdy przy układaniu stosunków pokojowych nie znalazło się dla niego miejsca. Toteż przeróżnymi sposobami stara się zabezpieczyć przed spontaniczną nienawiścią narodu i blokadą demokracyj. Zrekonstruował rząd, wpuścił do kraju emigrację, zabiega równocześnie o restaurację monarchii. Rozumuje bowiem, że przywróciwszy koronę królewską (do której dzisiaj jest już trzech pretendentów) uchroni się od odpowiedzialności przed republikanami i pozostanie w cieniu króla na lukratywnym stanowisku.

Z drugiej strony, dla zatarcia swoich zbrodni, robi umizgi do Anglii, jednocześnie stara się podkopać współpracę wielkich mocarstw przez stworzenie bloku zachodniego. Mimo upadku hitlerowskich Niemiec, armia gen. Franco zalana jest przez niemieckich wojskowych, a od szpiegów, gestapowców i wszelkiego autoramentu zbrodniarzy hitlerowskich roją się przede wszystkim ulice Madrytu.

Atmosfera wolności, jaką oddycha Europa, musi wniknąć i do Hiszpanii. Naród hiszpański pamięta dobrze republikę i wie jak o nią walczył. Ruch podziemny przeciw reżimowi rośnie z każdym dniem, a nielegalne publikacje jawnie nawołują do walki. I chociaż faszyzm hiszpański jeszcze otacza kraj murem więzień, chociaż dławi każdy odruch wolności, nie zdoła powstrzymać koła historii. Opozycja zatoczyła tak szerokie kręgi, że jeżeli gen. Franco nie ustąpi w najbliższym czasie dobrowolnie, groźba wojny domowej zawiśnie nad całą Hiszpanią.

Dziś, kiedy upadł faszyzm niemiecki i włoski, zwarty obóz demokracji hiszpańskiej na emigracji i oddziały partyzanckie szczególnie w Pirenejach, gotowe są do wkroczenia i objęcia władzy.



Gen. Franco: Jestem demokratą.

O powadze dokonywujących się przemian, o materialnej sile i autorytecie ruchu demokratycznego świadczy, głównie solidarność z nim południowo- i środkowo-amerykańskich krajów, popieranie i entuzjazm narodu francuskiego, a nade wszystko stanowisko Anglii, Stanów Zjednoczonych i ZSRR.

Stąd dla wszystkich jasnym jest, że w tej atmosferze gen. Franco musi się ugotować, lub ustąpić.

Nowa jednak Hiszpania winna zrodzić się nie z krwi i wojny domowej, lecz przy pomocy parlamentarnych przeobrażeń, przy pomocy poparcia międzynarodowej demokracji.

Atak na gen. Franco zaognił się od konferencji w San Francisco, gdzie nie przyjęto Hiszpanii na członka Narodów Zjednoczonych, a doszedł do szczytu w tej chwili, wobec ujawnienia listu prezydenta Roosevelta do Normana Armour, demaskującego kompletnie tenże reżim, oraz z powodu przemówienia radiowego przewodniczącego angielskiej Partii Pracy Lasky'ego do Ameryki: „Nasze narody nie po to poniosły olbrzymie ofiary w czasie wojny, by pozwolić na tyranię w rodzaju rządu gen. Franco, albo na nieokreślony mit w rodzaju popierania przez Watykan króla hiszpańskiego, który pospiesznie stara się przyswoić sobie cztery wolności demokratyczne, aczkolwiek na każdym kroku zdradza, że są one dla niego pustym dźwiękiem".

Wypadki w Hiszpanii rozwijają się już w tak szybkim tempie, iż lada dzień okaże się, czy wola narodu i niezależnych Kortezów niszcząc feudalne i faszystowskie pozostałości — zwycięży na drodze pokoju, czy faszyzm hiszpański zgniecie siłą.

Krzysztof Sadulski

Na kolonii u dzieci RTPD w Zakopanem

W chłodny, cichy, wrześniowy wieczór w Zakopanem zajechało auto pod willę RTPD (Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci). Gwar, wesołe okrzyki, nabrzmiałe zachwytem, poniosło echo w góry. Dzieci od lat 7—13, dzieci robotników, inteligencji pracującej i sieroty, delegowane ze szkół krakowskich wyskakiwały jedno po drugim z auta. O! droga to była trudna z Krakowa do Zakopanego. Kilka godzin czekano pod Myślenicami na auto wymienne z Krakowa, gdyż w drodze to, którym wyruszono z domu, zepsuło się. Ile to było strachu, a ile niecierpliwości! Teraz nareszcie są w Zakopanem. Słyszały o nim tyle od dzieci, które były w poprzednim turnusie...

Lecz długo nie można marudzić. Zmierzch już zapada. Dzieci zakrzątnęły się koło swych pokoi. Jest więcej dziewczynek. Zajmują parter i pierwsze piętro. Chłopcy zaś lokują się na drugim piętrze. W każdym pokoju po dwoje, troje i czworo. Razem jest 58 dzieci.

Po paru dniach ruszam do dzieci z wizytą. W każdym pokoju jest woda bieżąca zimna i ciepła. Łóżka są schludnie zasłane, podłogi czysto zamiecione. Porządek w korytarzach

i jadalni utrzymują dyżurni, każdego dnia inni.

— Staramy się o to, aby dzieci wraz z rozrywką nabierały upodobania do porządku i dyscypliny — mówi ob. Władysława Kozówna, kierowniczka kolonii. Istotnie w ręku jej spoczywa dzwonek. Pomaga nim sobie przy kierowaniu swoją trzodką. Podczas gdy z nią rozmawiam, dzieci bawią się wesoło na polanie piłką. Roześmiane twarze, rozbawione i upojone ruchem na świeżym, ostrym, górskim powietrzu. Kierowniczka zapoznaje mnie z całodziennym programem dnia. A więc: Pobudka o 8-mej, mycie się, ubieranie, wietrzenie pościeli, gimnastyka, poranne odśpiewanie „Roty", śniadanie, sprzątanie, spacer lub wycieczka (były już u stóp Giewontu, w Dolinie Strążyskiej, w Dolinie Białego), po obiedzie odpoczynek do 4-tej, po podwieczorku znów spacer lub gry i po kolacji śpiewy chóralne.

Zapraszam się na wieczór.

Ławki w sali jadalnej gęsto zapełnione, ściany ozdobione różnobarwnymi postaciami wyciętymi z papieru przez dzieci. Jest także gazetka ścienna.

Na moje powitanie wszystkie dzieci wstają. Nieokreślony gwar, który przy tym wybucha, oszałamia mnie. Staję więc i słucham, długo nie rozumiejąc nic, aż wreszcie jakby za skinieniem różdżki czarodziejskiej z ust 58 dzieci wypływa wspólne: „Dobry wieczór pani!" — „Dobry wieczór dzieci!" — uśmiechamy się do siebie i zaraz czujemy się bardzo swoje... Głowy blond i ciemne. Ciekawie spoglądające oczy i mniej śmiałe, speszone spojrzenia — odpowiadają mi na mój wzrok, który przesuwam po dzieciach.

Śpiewają. Są w Zakopanem dopiero 6 dni, a już tak ładnie zgrały się w chórze. „A może któraś z was zadeklamuje?" — pytam — „Danusia! Danusia!" Danusia Gutowska jest uczennicą klasy VI. Ojciec nie wrócił jeszcze z niemieckiej niewoli z oflagu. Ona z mamusią przeszła powstanie warszawskie.

Stoi Danusia chwilę i czeka aż będzie zupełnie cicho. Utkwiła oczy w jakiś niewidoczny punkt w dali i zaczyna mówić. Już po pierwszych słowach słucham z zainteresowaniem. Mówi wiersz Marii Konopnickiej „A jak poszedł król na wojnę". Głos jej drży ze wzruszenia. Skończyła. Zachwycone dzieci biją brawo. — „A jak ty ten wiersz rozumiesz Danusiu?" — pytam. — Rezolutnie odrzuciła włosy z czoła i z zacięciem zaczyna swą interpretację. — „Maria Konopnicka to była taka polska komunistka" — powstaje szmer... — „Tak — ciągnie Danusia stanowczo dalej. — „Ona ujmowała się za krzywdą chłopa. Wykazuje, że chłop musiał walczyć i ginąć w boju, w który posyłał go król, czy pan, a król wracał do zamku zwycięski, nietknięty, a o Stachu chłopie, co zginął nikt nawet nie wspomniał. Teraz jest inaczej. Teraz wszyscy mają jednakowe prawo i chłop polski jest pełnym obywatelem w państwie". — Przyznam się, że byłam zdumiona. Odpowiedź przeszła moje oczekiwania. Jesteś naprawdę mądrą dziewczynką, Danusiu. „A teraz Zosia zaśpiewa" — zaprasza kierowniczka małą dziewczynkę. Zosia Szewczyk chodzi do drugiej klasy. Jest teraz na drugim już turnusie. Nie ma ani mamusi, ani tatusia. Zginęli w r. 1939 podczas bombardowania Warszawy. Opiekunka jest chora na gruźlicę. Mała Zosia staje przed dziećmi i zaczyna jasnym, mocnym głosem śpiewać. Śpiewa piosenki wesołe i wszystkie dzieci się śmieją. Klaszczą i proszą o jeszcze. Wreszcie Zosia kończy, dopada do kierowniczki, tuli się do niej i siada jej na kolana. Jasne warkoczyki, ujęte w wstążki zdobią zarumienioną twarz dziecka-sieroty. Patrzę na tę jasną główkę i myślę: Tu ci dobrze, dziecino. Odnalazłaś rodzinę, której ci brak...



Jest tu wszystkim dzieciom dobrze. Mówi o tym Eugeniusz Łyko uczeń VI klasy, syn robotnika, sekretarza Dzielnicowego Komitetu PPR na Prądniku Czerwonym. — „Teraz jest inaczej. Możemy pojechać w góry, odpoczywać i bawić się. A w czasie okupacji przeżyłem nieraz wiele strachu. Raz przyszli do nas szukając radia. Chcieli mnie przekupić. Dawali mi cukierki, ale ja nie byłem głupi i nie zdradziłem. Ja wiedziałem, że Niemiec to wróg polskiego narodu, a mój ojciec walczył przeciwko Niemcom. Nie dałem się Niemcom oszwabić". — Dzieci się śmieją. „A teraz jest mi tu dobrze" — podejmuje znów. „Bardzo dobrze dają tu jeść". „O! wujciu Genio ma dobry apetyt i dobrze sobie wyglądal" — docinają mu chłopcy. Istotnie zuchowata twarz „wujcia Genia" jest okrągła, jak jabłuszko. Jest niski, krępy. Znać, że on, syn robotnika, silnie stoi na swych młodych nóżkach i świadomy wrasta w nowe czasy, które dla niego w konspiracji ojciec wykuwał.

Odchodzę od tej gromadki z uczuciem wielkiej serdeczności.

Gdy na chóralne, przepojone życzliwością „Dobranoc pani" — odpowiadam „dobranoc wam dzieci" czuję się wzruszona.



Pierwsza polska robotnicza kolonia dla dzieci. Jest to początek. Tym razem przyjechało na jeden turnus 60, a na drugi 58 dzieci. Za rok uruchomimy więcej takich domów.

Troska o dziecko, to podstawa pracy naszego społeczeństwa. A tu w Zakopanem, odciągnięte od miejskich wpływów, które w okresie powojennym jeszcze b. często demoralizująco działają — oddycha dziecko świeżym powietrzem, zwiedza Tatry na przechadzkach i uczy się kochać Polskę, poprzez jej niewysłowione piękno przyrody.

Pełne zachwytu są listy dzieci, które nazajutrz od nich otrzymałam. Wszystkie od razu ukochały góry, które pierwszy raz w życiu oglądają.

A gdy wrócą do swego rodzinnego Krakowa, przywiozą w swoich serduszkach to ziarno, które zapadło w nie na kolonii w Zakopanem. W ciągu roku zakwitnie ono w pracy nad książką i budową swojej postawy życiowej, postawy zdrowego, szczęśliwego dziecka robotniczego, które w nowej rzeczywistości polskiej znalazło wreszcie właściwą opiekę.

Irena Pancerz-Grabowska



ADAM ASNYK

GIEWONT

(Fragmenty)

Stary Giewont na Tatr przedniej straży
Głową trąca o lecące chmury —
Czasem uśmiech przemknie mu po twarzy,
Czasem brwi swe namarszczy ponury
I jak olbrzym w poszczerbionej zbroi
Nad kołyską ludzkich dzieci stoi.

— — — — — — —

Lecz choć czoło chmurami powleka,
Zbyt surowo nikogo nie sądzi,
Bo zna dolę biednego człowieka,
Który idąc na oślep zabłądzi
I o głodzie wzrok obraca chciwy
Na żyźniejsze swych sąsiadów niwy.
Raczej czuje dla tej biednej rzeszy
Wielką litość w piersi swej kamiennej;
Od kolebki bawi ją i cieszy,
Z każdą chwilą biorąc strój odmienny,
Przed jej okiem stroi się i wdzięczy,
Pożyczając wszystkie barwy tęczy.

— — — — — — —

DZIAŁ LITERACKI

ROMAN GRAD

Poezja Tatr

Ziemia, księżyca światłem osrebrzona,
Leżała nago pod niebios błękitem,
Jakby miłosnym ogniem rozpalona
I nie taiła wdzięków swego łona.
A święte Tatry, jako nocy gmachy,
Nieporuszone czerniały w błękitach
I srebrne wody, jako srebrne blachy,
Snuły się w krętych, świecących korytach.

Obrazy, przepełnione zwidami zrodzonymi w wyobraźni poety i ludu, ukazuje nam Goszczyński, dając nam nie pełnię widoku, ale tylko pewien odcinek. Nic np. nie wiemy z wierszy tego poety o góralskim ludzie. To niedociągnięcie, gdyby to tak nazwać można, naprawia inny poeta romantyczny, Wincenty Pol (1807—1872). Czytajmy:

Bo to lud, co krew ma w żyłach,
— — — — — — — —
Więc do czego się sposobi,
To nie idzie mu już żmudnie,
I co robi, to już robi
Z całej duszy, nieobłudnie!

Gdy pracuje — to już szczerze,
Kiedy sądzi — to z powagą,
Gdy się modli — w dobrej wierze,
A gdy mówi — to rzecz nagą!
Kiedy kocha — to serdecznie!
— — — — — — — —
I co pocznie za gromadą
I za wspólną ludzką radą,
To też idzie mu i składnie.

albo:

I gdyby nie lud, co dumne te czoła
I te przepaści oplątał ścieżkami,
I prostym zmysłem zaludnił dokoła
Ten świat w obłokach swoimi gadkami.

Widzimy, że podana charakterystyka podtatrzańskiego ludu może miejscami naiwna nawet, ale przede wszystkim szczera, oddaje cechy górali: rozsądek, pracowitość i zamiłowanie do zabaw.

Takie oto mamy dwa pierwsze głosy, wprowadzające w literaturę naszą nowy temat, dotąd zapoznany: Tatry. Obydwaj poeci, to romantycy, dla których w myśl powiedzenia mickiewiczowskiego: **„Czucie i wiara silniej mówi do mnie, niż mędrca szkiełko i oko"** — bliższym jest cały ten świat baśniowych postaci, którymi lud nasz tak hojnie w opowiadaniach swych szafuje i jemu, znalazłszy się w żywiole groźnych Tatr i niespaczonego ludu, poeci oddają się. Im mamy do zawdzięczenia nowy oddech w naszej literaturze. Od nich zapoczątkowuje się nowy ruch. Jadą w Tatry pisarze, jadą malarze i w dziełach sztuki nadrabiają zaległość dziejową, zaznajamiają nas z południową częścią naszego kraju. Rodzą się w górach nowe, samoistne talenty tubylcze. Często nieudolnie ale z sercem, malują przed nami obrazy Tatr, dają nam, co nas może nawet rozśmieszyć, wierszowane przewodniki po górach.

Po tamtych, ważniejszych pisarzach, Goszczyńskim i Polu, udaje się w góry znany poeta, żyjący na przełomie dwóch epok sztuki: romantyzmu i pozytywizmu, Adam Asnyk (1838—1897). Idzie w Tatry w dobranym towarzystwie miłośników gór: z Chełmońskim, ks. Stolarczykiem, Eljaszem i jednym z najbardziej znanych kobziarzy — gędźbiarzy, Jaśkiem Sabałą. Patrząc na panoramę gór unosi się Asnyk nad ich pięknem a równocześnie, będąc filozofem, roztrząsa stosunek człowieka do przyrody:



O wielki poemacie natury! któż może
Iść w ślad za twych piękności natchnieniem wieczystem?
Kto uchwyci poranku wzlatujące zorze
I zapali rumieńce na niebie gwiaździstem?

O wielki poemacie natury! Ciebie tylko można
Odczuć i wielbić razem w drgnieniu serca skrytem,
Gdy pijąc wszystkie blaski, źrenica pobożna
W cichym zachwycie tryśnie źródłem łez obfitem
Gdy na skrzydłach tęsknoty dusza leci trwożna
I nakrywa się własnych marzeń swych błękitem.

Niezwykle i głęboko refleksyjnym jest inny jego wiersz pt.: **„Noc pod Wysoką"**. (Wysoka — jeden ze szczytów tatrzańskich). Zespala się tutaj poeta **„ze światem, błogosławi moc przyrody, która najlepiej leczy smutki... i dopiero wobec niej człowiek czuć się może jednym z trybów wielkiego koła ludzkości, podległym twórczej myśli Boga. Tu, jak ze źródła, dusza każda napić się może prawd** odwiecznych, w których skąpać się może, odświeżyć i zmężnieć" (tak charakteryzuje ten utwór J. Kantor, w swej antologii pt.: **„Tatry w poezji polskiej"**).

Za Asnykiem wyruszył w Tatry ze swoją nadzwyczaj wrażliwą duszą poetycką Fr. H. Nowicki (1864—1936). **„Stanąłem na przełęczy... świat czarów przede mną! — Patrzę w Tatry, w te runy przedwiecznej zagadki, chciałbym przejrzeć, przeniknąć jej myśli olbrzymie"** — marzy poeta w jednym ze swoich sonetów. Wchodzi w góry. Poznaje je dokładnie. Maluje ich przyrodę. Cierpi, gdy wandalskie ręce i nogi niszczą ją; cierpi, gdy dzieje się krzywda górskim ptakom i zwierzętom:

Dziwny głos bólu, strachu, rozpaczy złowrogiej,
Biegnie w skalnych ruinach, w praświata zwalisku...
To kozica, w żelaznym oklepca uścisku
Porusza skały jękiem śmierć wróżącej trwogi.

albo:

Grania, gdzie błądzi tylko stopa wiatru lotna,
Ku szarotce błyszczącej wśród turni szeregu
Jak zamarła gwiazda puchem otulona śniegu —
Wspina się ludzka postać śmiała i obrotna.
— — — — — — — — —
On grosz za nią dostanie!... trwożny ruchem koła
Wspiął się... zwisnął w powietrzu... kładzie rękę na niej...
Zerwał!... zamknął nad kwiatem palce — —śmierci wrota.

Odtąd temat Tatr zjawia się coraz częściej w naszej literaturze.

W dziewięćdziesiątych latach ubiegłego wieku styka się z Tatrami Jan Kasprowicz (1860—1926). Jest wtedy już dojrzałym, pełnym poetą. I tutaj, wobec tej pewnej melancholii, następuje u niego gwałtowna niemal zmiana. Opanowuje swój bunt i wybuchowość. Naturalnie po długich, długich zmaganiach wewnętrznych. W Tatrach powraca Kasprowicz do ludu, znowu weń wchodzi, uczy się legend góralskich, ich gwary i sposobu myślenia, dlatego też te dwa jego zbiorki poezji **„Księga ubogich"** i **„Mój świat"** są tak proste. Poza nimi o Tatry oparł Kasprowicz swój dramat pt.: **„Bunt Napierskiego"**. Jest on osnuty na tle historycznego zdarzenia z czasów Jana Kazimierza. Naturalny syn Władysława IV, stanął na czele góralskiego buntu chłopskiego przeciw wielmożom, buntu, który postawił sobie za zadanie „równać świat" i walczyć za krzywdy drugich i dla ich dobra. Pochwycony przez magnaterię, Kostka Napierski został za karę nawleczony na pal. Egzekucja odbyła się w Krakowie, na Krzemionkach.

Tatry są ostatnim etapem życia Kasprowicza. U ich stóp umarł, na swojej Harendzie pod Poroninem. A oto jeden z charakterystycznych wierszy tego wielkiego poety:

Wiatr zgina sieroce smreki
W okna mi deszczem siecze —
Cicho się moja dusza
Po mgławych drogach wlecze.

Ku turniom płynie krzesanym,
Ku perciom nad przepaściami,
Gdzie widmo bożych tajemnic
Zmaga się w szumach nad nami.

Ku wichrom płynie strzelistym
Spowitym w słoneczne złota,
Gdzie o bezbrzeżnych przestworzach
Samotna śni tęsknota.

Po reglach pełzną dymy,
Mgławica deszczem prószy —
Hej góry, zaklęte góry,
Tęsknico mojej duszy!

Z kolei opracowuje temat Tatr Stanisław Witkiewicz (1851—1915). Jest on bezsprzecznie obok późniejszego Tetmajera najlepszym znawcą tej ziemi. W dwu zbiorach nowel: „Z Tatr" i „Na przełęczy", daje nam przepiękne widoki i obrazy ludowe, szkicując doskonale ujęte sylwetki górali na tle ich, gwarą opowiadanych, legend.

W tym samym mniej więcej czasie wydaje ziemia podtatrzańska znakomitego pisarza Franciszka Smreczyńskiego, piszącego pod pseudonimem Władysława Orkana (1876—1930). Przygnębia nas ten syn Podhala masą cichych cierpień góralskiego ludu.

W skalistej kępie na ugorze
Stoi samotny, suchy smrek —
Dokoła niego skałę orze
Zgarbiony biedą człek...

Ledwo za pługiem wlecze kości,
A musi w skałę owies siać —
I nieraz drzewu pozazdrości,
Że może cicho stać.

Przeraża nas ta tragedia człowieka stojącego wobec bezlitosnych skał. Poza wieloma powieściami tematycznie opartymi w większej części o umiłowane Tatry i ich okolicę, napisał ten autor świetną powieść, w której poruszył ten sam temat, co Kasprowicz. **„Kostka Napierski"** — oto tytuł tej powieści.

W szeregu pisarzy, którzy twórczość swą poświęcili Tatrom, największym ich miłośnikiem okazał się Kazimierz Przerwa-Tetmajer (1865—1943). Wspaniałym jest cykl jego opowiadań zatytułowany **„Na skalnym Podhalu"**. Oryginalną napisane gwarą, dają nam te opowiadania, gęsto przeplatane autentycznymi baśniami góralskimi, obraz Tatr, ludu, jego etyki, nawyków i umiłowań. Jak żywi, wyglądają z kart tej książki zbójnicy-harnasie. Jest w nich mowa o największym zbójniku, bohaterze Tatr polskich i słowackich, Janosiku z Tarchowej **„co to bogatemu zabrał a ubogim rozdał"**, o znanej, dzikiej juhasce, Marynie z Hrubego, o największym tatrzańskim kobziarzu, Jaśku Sabale i o innych. Widzimy z tych opowiadań całą duszę góralską. Wierzą oni w Boga, ale po swojemu. Bóg — to największy gazda. Lubią ogromnie tańczyć i zbójować. Harnasi nazywa się w górach nie złodziejami, ale wręcz odwrotnie: dobrymi chłopcami, bandą, do której należeć, było największą chwałą i przyjemnością. Poza tym cyklem opowiadań, daje Tetmajer jeszcze inne książki. Są to poezje tatrzańskie, w których przejawia się cała miłość autora do rodzinnej ziemi. Oprócz tego, zostawił autor fragmenty zapoczętego poematu o Janosiku.

Zastanawiamy się, dlaczego szczególnie w okresie Młodej Polski, tj. w okresie literatury polskiej, mieszczącym się w latach mniej więcej 1890—1915, tak bujnie rozwinęła się tematyka tatrzańska. Odpowiedź nie jest właściwie skomplikowana. Tatry, przede wszystkim, stały się tematem świeżym. Poza tym, nadają się świetnie do dumań o wielkości, która jest charakterystyczną stroną dążności ówczesnych twórców. Istotnie. Nigdzie nie doznaje się tak potężnego wzruszenia poetyckiego, jak właśnie w Tatrach. Nieobjęty masyw górski, zachowany w swej pierwotnej szacie nagich skał czy wiecznych śniegów, czy nieprzebytych jeszcze lasów, nagłych urwisk i przepaści oraz wdzięczne widoki małych, rozszumianych potoków muszą oddziaływać na każdą wyobraźnię, a szczególnie poetycką, do pewnego stopnia, że się tak można wyrazić, uszlachetniająco. W tym leży powód tego zainteresowania się pisarzy Tatrami.

* * *

Pomimo istotne zmiany frontu tematycznego poezji nowoczesnej, w której naczelne miejsce zajęły sprawy zasadniczo i przede wszystkim miasta, proletariatu i ludu, kwitnie w niej jeszcze nadal tematyka tatrzańska. Powody zasadniczo te same, jakie przeczytaliśmy w poprzednim ustępie: poetyckie oddziaływanie gór. Nie ma już zasadniczo wśród poetów miłośników Tatr, w rodzaju Witkiewicza, Nowickiego czy Tetmajera, poszczególne jednak liryki oparte o Tatry, wskazują, że nikt nie może się oprzeć ich urokowi. Nie będziemy tutaj cytowali wszystkich utworów, ponieważ musielibyśmy w takim wypadku rozszerzyć szkic ten jeszcze bardziej, ograniczymy się już tylko do wymienienia paru nazwisk tych poetów, którzy w swym dorobku literackim posiadają podobne wiersze. Nazwiska ich będą rekojmią wartości tych utworów. Tak więc przepiękne momenty przeżyli w Tatrach: **K. Wierzyński, M. Pawlikowska-Jasnorzewska, M. Braun, K. A. Jaworski, L. Lewin, J. Przyboś, J. Liebert, St. Bąkowski, J. A. Gałuszka, W. Słobodnik, T. Wittlin, J. A. Szczepański** i in. Są to przeżycia notowane w oparciu o kontemplację nad pięknem, często połączone z jakimiś osobistymi wspomnieniami twórców. Warto zachęcić do poznania tych utworów.

* * *

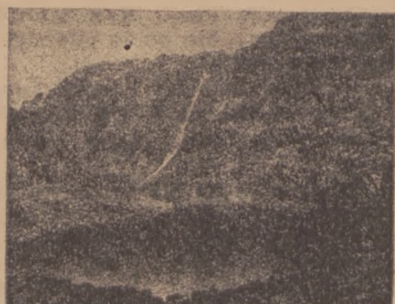
A Tatry, najwyżej wznoszące się ziemie naszego kraju, stanowiące jego naturalną a skuteczną, południową granicę, jakby nieczułe na zebrane już hołdy, wabią swym poetyckim czarem coraz to nowych pisarzy, coraz coś nowego im ukażą, przejawią i znów dumne czekają na nowych pieśniarzy, nowych poetów, którzy zachwycą się widokiem i zakują go w jakikolwiek nowy utwór literacki.

KAZIMIERZ TETMAJER

Gazda halny

(Legenda góralska z cyklu: „Na skalnym Podhalu").

Szedł wieczorem Jędrzej Pazdur w góry, jak często bywało, bo on rad swoje gazdowstwo nocami obchodził.



Miał on gospodarstwo dość spore we wsi, w Cichem poronińskim, pod czternaście korcy pola, półtora morga lasu, chował krowy i konia, ale nie to go cieszyło; hej, jego cieszyło inkśe gazdowstwo, hań w górak.

A nie był to ten kierdelek owiec, co się mu pasł w Małołące, nie, ino to były te góry, ten smrekowy las, ta woda, a kosodrzewina po upłazach.

Dziwowali się temu ludzie i mieli go za przygłupiego, bo on mało co kiedy o roli, albo o bydle radził, tylko cięgiem: co się ta we Wierchcichej, a co sie ta w Jaworowej Dolinie dzieje?...

Idzie Jędrzej, patrzy do świata, noc była jasna, miesiąc wyszedł zza Kosistej; w pełni był. Zajaśnił się na lesie pod Żółtą Turnię i pyta się Jędrzeja: Ze po coześ haw przisel tak nieskoro, Jędrek?

A on mu odpowiedział:

— Bo ja jest halny gazda...

Idzie w górę do Zawratu, ku Pięciu Stawom, a myśli sobie: Hej miły mocny Boze! Jako sie im tes ta bez zime gazdowało przeze mnie? Kosodrzewiny po-

pod Wołosyn cy tes przybyło kielo telo?... To to jego gazdowstwo najmilsze. Wonieje to, a do słonka się iskrzy, jak złote.

Przyległ na chwilę, zadrzemało mu się. A tak się mu śnije, że się naokolo niego wszystko, wszystko staje zielone, jako na wiosnę bywa, kiedy się ziemia poczyna weselić.

Obudził się, chłodny wiater ku ranu, przejaśniła się noc, tyl-



ko w Kościelcu popod turnie gruby cień.

Wstaje Jędrzej, przetarł oczy śniegiem, rąbie stupaje do przełęczy, stanął na niej.

Prawie namieniało na świtanie.

Patrzy się: wierchy takie jak ze mgły, gdzieś tam od Lodowego przebieła rózeje świat. I wyszedł taki skrawek światła, jak żebyś skrzele od białego kapelusza wystawił. Patrzy Jędrzej, ono się dźwiga to światło, taki obłoczek różany, leciuteńki, cichućki. I wyjechało takie słońce, jakoby się porosiło kasi w dolinak, jakieś mokre, wilgotne, wypłynęło tak do pól spoza turni i pyta się: Ze poco ześ ty haw przisel, Jędrek, tak rano?

A on mu odpowiedział:

— Bo ja jest halny gazda.

Wziął się potem na dół ku Pięciu Stawom.

Lepiej mu się szło, niż do Zawratu, bo od południowej strony śniegi już wytajały, mało gdzie co zawadził, zbiegł wartko ku stawu Pod Kołem. Zamarźniony.

— Nic tu po mnie — myśli Jędrzej. — Niek se ta lód gazduje, kie je taki sparty. Telo jego.

Spojrzy dalej — hej! Wielki Staw czerni się między skały.

— Stawecku! Stawecku! — woła Jędrzej. — Tuś?!

A ono mu tak zaszumiało z tej wody:

— Hej, gazdo! Witajcie! Nie było was tes dawno!

— Jakoz ci sie ta drzemało pod lodem? — woła Jędrzej.

A staw mu gwarzy:

— Dobrze. A tak sie mi śniło, co syćko bedzie zielone.

— Ej tak i mnie! — mówi Jędrzej. — A radeś, że ci ku niebu widno?

— E! Dy to u mnie tak, jak nawonniejsy kwiat! — mówi Staw.

I tak tam oni radzili do siebie.

Poziera Jędrzej; rozwidniło się, świetleje po niebie: słucha — idzie po kosodrzewinie szum, pocieplał wiatr.

— Bedzie jechał śnieg — myśli se.

A tu ono tak gra od turni, jakosi tak, że się Jędrzejowi gardło ścisnęło i łzy mu do oczu naszły.

Wyciąga ręce ku Wołoszynowi i krzyczy:

— Hej! gazdowstwo moje kohane! rodzone! prześlicne!...

Pogląda po Wielkim Stawie, pogląda po Przednim, aż się zadziwował: Kiele som tes!

A Siklawa huczy mu, wali się z grzmotem ku Roztoce, i potoki lecą z Wołoszyna, a taki z nich szedł śpiew, jak z dzwonków.

— Wody mam dość — mówi.

Weźmie kosodrzewiny kitkę w rękę, pomacał.

— Pieknie zrosła. Nagodził Bóg urodzaj, nima co pedzieć — mówi. — Wiaterek duł, oduhował, toz to rosło, jak zyto. Ino by trza ten śnieg poupprzątać dolinami, ale to sie ta wartko zrobi z wiesnóm. Turnie sie juz tes pozwydobywały kielo telo ze śniega, śmiejom sie do słonka, jak nowe...

Gdzie spojrzy, wszystko jego: tu wody, tam góry; świecą mu się stawy, zieleni trawa, oczyma ledwie objąć może to swoje gazdowstwo.

Wszystko wydało mu się po myśli.

— Bogatyk jest — rzekł. — Tu sie mi w Pięcistawak, dziękować Bogu, wydarzyło tego roku dobrze.

A potem się Jędrzej zabrał ku Miedzianemu, na Śpiglasowe Perci.

Zestraszył kozy. Rad widział Jędrzej kozy, ale go to mierziało, że się go bały.

— Diabłaście wy zjadły kany dziś! — mówi im. — Dy wam nic złego niezrobiem, cegoz sie mi boicie?

Zasmuciło mu się serce, że się go te kozy boją, na jego gazdowstwie. Tak jako zające w kapuście! — pociesza się.

A nad Stawami wyszedł dzień i pozłociły się ciemne turnie Murów Liptowskich.

Jasność zalała dolinę, rozwidniło się wokrąg, co jaze cud radość.

— Hej! grajom tes wody do słonka! Ciepło im, ciesom sie — myśli Jędrzej.

Cud! radość!

Obrócił się na perci plecami ku Miedzianemu, ku śniegom, i patrzy: woda gra, mieni się, telo na niej farby, jako w tęcy, a wiatr leci doliną, rozpiął skrzydła, topi śniegi, aż się zażółciły popod Krzyżne. Gdzie już pierwej stajały, trawa rośnie, zieleni się, młodziutka, wiosenna, a potoki się z niej sączą na dół strugami, jak pręgi szklanne. Jakisi idzie młody deh dolinom, jaze duk w człowieku rośnie!

Takie to było prześlicne Jędrzejowe gazdowstwo...

*

Już go nie opuścił.

Tego dnia, kiery wieczór nastał, wielki księżyc po pełni, wyszedłszy nad wierchy, zaświecił już na czerniejących pośród śniegów co stromszych skałach, i potem począł wolno oświetlać zanurzone w mroku straszliwe puste doliny, zaćmiewając się tu i ówdzie na turniach i w żlebach, jakby się światło błąkało w bezdrożach. Szumiały w ciemności nocnej wody, bo już mróz nie ścinał ich lodem. Pustkowia zaumarłe napełniały się żywym, ciepłym powietrzem. Zdawało się, że się wzrusza coś w górach. Już nie było zastygłego spokoju zimy — szła wiosna.

Kiedy blask księżyca począł spływać po białych upłazach Miedzianego, nagle olśnił głowę i ramiona Jędrzeja Pazdura, wystające ze zwału śniegów.



Musiała się oberwać lawina ponad nim i przysypała go w pędzie.

Śnieg utknął w głazach, pośród których Jędrzej stał i nie zniósł go niżej, a tylko ogarnął po ramiona, tak, iż tkwił w nim twarzą obrońcy ku przestrzeni. Mdlejące już, nieprzytomne otwarł Jędrzej oczy na księżyc. Ciepły wiatr gnał deszczowe obłoki; huczały strumienie wiosenne — usłyszał. Nie czuł bólu, nie czuł śmierci. Popatrzał jeszcze raz dookoła zaszklewającymi się oczyma. Hej! wiesna idzie — szepnął — syćko, syćko bedzie zielone...

BRACIA TUR

Małżeństwo Czystiakow

(Przekład z rosyjskiego ze zbioru opowiadań „Wielcy Duchem")

Mała stacyjka wysokogórska latem służyła jako schronisko dla nielicznych alpinistów, którzy zabrnęli aż tutaj, zimą zaś — jako siedziba samotnych uczonych, badających wahania temperatury i ruchy mas powietrza. W tym roku zamierzali tu zostać na trzecią zimę Eugeniusz i Lidia Czystiakowie, młodzi meteorolodzy leningradzcy, zakochani w sobie nawzajem i w nauce.

Dobiegała już końca późna jesień i ostatnie ścieżki zasypał ciężki śnieg. Zima zamykała na lodowaty zamek przełęcze i drogi na szczyty. Mała stacja radiowa łączyła zimujących ze światem zewnętrznym. W posrebrzonych lampach huczały miarowo przestrzenie. Poprzez łańcuchy gór, poprzez lodowate, zimne morze, przez stepy i lasy dobiegał ich głos z Moskwy. Ze wzruszeniem i drżąc słuchali komunikatów wojennych o posuwaniu się wojsk niemieckich na Kaukazie.

Pewnego razu o świcie, kiedy Czystiakowie spali jeszcze w swych workach jelenich, za oknem ich domku rozległ się ciężki warkot silników. Warkot to zbliżał się, to zamierał, jakby gdzieś w pobliżu krążył samolot w poszukiwaniu zdobyczy. Kiedy Czystiakow skoczył do okna, w niskich śnieżnych chmurach nikł cień oddalającego się samolotu. Eugeniusz i Lidia długo nie mogli zasnąć, zatrwożeni tą czarną zjawą. Po upływie pół godziny zastukano silnie do drzwi domku. Potem drzwi, zerwane z haczyka, rozwarły się szeroko i do domu wpadło trzech spadochroniarzy z automatami w rękach. Mieli na sobie wełniane ubrania alpejskie, które nadawały im wygląd sportowców i tylko automaty w rękach i hełmy na trykotowych czapkach zdradzały żołnierzy. Dwaj z nich, z poczerwieniałymi od górskiego słońca twarzami, mieli wygląd bandytów, trzeci zaś, w złotych okularach, z delikatnymi rysami twarzy cały był jakby pełen poczucia swej wyższości nad tymi dwoma żołnierzami i nad całym pozostałym światem.

Mężczyzna w złotych okularach, ledwie wszedł, strzelił w aparat radiowy. Kryształowy świat lamp rozsypał się z brzękiem. Czystiakowowi wydało się, że kula trafiła go w serce. — Oberlejtnant Hugo von Bischof — przedstawił się gość w okularach. — Od tej chwili terytorium to zajęte jest przez wojska niemieckie. Obowiązani jesteście państwo spełniać moje rozkazy. Przede wszystkim dacie spokój waszym zajęciom, — wskazał na stosy książek i tablice synoptyczne, rozwieszone po ścianach, — i będziecie pomagali nam przy oczyszczaniu terenu na lądowanie samolotu.

Czystiakow spojrzał na Lidię. Czarne, jakby w węglu kamiennym wyrąbane włosy czyniły jej twarz jeszcze bielszą.

— Nie będziemy oczyszczali terenu dla waszego samolotu, — powiedział spokojnie Eugeniusz Czystiakow ze stanowczością, jaka cechuje niekiedy ludzi dobrych i roztargnionych.

— Czemuż to? — zapytał ironicznie oficer. — Czyżby praca fizyczna ubliżała uczonemu?

— Nie, — odpowiedział Czystiakow. — Ale uczonemu ubliża zdrada.

— A jakiego pani jest zdania w tej sprawie, madame? — zwrócił się oficer do Lidii.

— Nie zwykłam sprzeczać się z mężem.

— Pal was diabli — zaklął oberlejtnant. — Oczywiście, warto by was powiesić za wasz upór. Wasze szczęście, że jesteście nam potrzebni do ważniejszej sprawy.

Trzy doby pracowali Niemcy, po kolei pilnując Czystiakowów, oczyszczając łopatami i kilofami teren do lądowania samolotów na naturalnym górskim plateau w pobliżu stacyjki. Czwartego wieczora rozpalili ognisko i na placyku wylądował „Junkers". Dwudziestu robotników lotniskowych wysiadło z ciężkiego samolotu transportowego i zabrało się do budowy lotniska. Następnego dnia na gotowe lądowisko przybywać zaczęły maszyny z wojskiem i ekwipunkiem. W krótkim czasie zagospodarował się tu, w pobliżu szczytu, cały oddział wysokogórski, dobrze wyekwipowany i uzbrojony. Byli to doborowi strzelcy alpejscy z dywizji niemieckiej „Górska Róża", którą dowodził generał Lanz. Dowódcą oddziału był Hugo von Bischof.

Kiedy oddział wypoczywał jeszcze i szykował się do akcji, Hugo von Bischof wziął podkute hakami buty i wdrapał się na szczyt góry, na której znajdowało się obserwatorium. Zgodnie z międzynarodową tradycją alpinistyczną, ten kto ostatni wdrapał się na szczyt, pozostawia tam w metalowej szkatułce ćwiartkę papieru ze swym imieniem i nazwiskiem. Hugo von Bischow wyjął ze stalowego pudełka papierek, na którym widniało nazwisko: Mikołaj Wierbnicki (był to znany mistrz alpinizmu, który przed dwoma laty zdobył ten szczyt) — i włożył zamiast niego swój bilet wizytowy z gotyckimi inicjałami.

Po powrocie oberlejtnant wezwał Czystiakowów i oświadczył im:

— Moi państwo. Oddział nasz jutro schodzi do doliny. Jeżeli nie chcecie, by wasze dusze uleciały do nieba, — stąd do raju jest przecież bardzo blisko, — wskażcie nam drogę przez przełęcz. Wiemy doskonale, że ścieżkę zimową znacie.

Eugeniusz Czystiakow spojrzał na żonę i widząc, jak spokojnie opuszcza powieki, odpowiedział:

— Nie znam żadnej drogi przez przełęcz.

Oberlejtnant zmarszczył gniewnie oczy za cienką złotą oprawą okularów.

— Powtarzam: posiadamy pewne informacje, że znacie zimową ścieżkę. Mieszkacie tu już trzecią zimę, — i von Bischof zrobił krok w kierunku Czystiakowa.

Ten nie spuścił wzroku. Patrzyli tak na siebie minutę.

— Twierdzi pan stanowczo, — ciągnął lejtnant, — że nie znacie ścieżki.

— Nie, nie znamy.

Hugo von Bischof odpiął futerał i rękojeścią swego parabellum uderzył w okulary Czystiakowa, wbijając mu odłamki rozbitego szkła w prawe oko.

Czystiakow krzyknął z piekielnego bólu, a Lidia w przerażeniu skoczyła do von Bischofa. Ale silne dłonie żołnierzy schwytały ją z tyłu.

Czystiakow stał przed swymi oprawcami, a oko spływało mu na but. Ale wściekłość, wywołana nieludzkim bólem, dodała mu sił, by utrzymać się na nogach.

— Znam ścieżkę dobrze, — powiedział, — ale nie pokażę jej wam nigdy. Słyszycie, mordercy?

— A pani, madame? — zwrócił się Bischof do Czystiakowej.

— A ja... ot co! — i Lidia plunęła mu w twarz.

Spokojnie otarł chustką plwocinę i wycedził dobitnie:

— Cóż, madame, mój oddział nie jest tak wielki, wszystkiego osiemdziesięciu żołnierzy...

I zawołał przez okno:

— Chłopcy, bierzcie ją!

Kiedy wszelkie tortury i męczarnie zostały wyczerpane, ledwie żywych jeńców strącono w przepaść, na której dnie huczała niewidoczna z góry rzeka. Potok górski pochwycił ciała obu ofiar i z łoskotem zaniósł je w dolinę.

Po kilku dniach w pobliżu pozycji oddziału strzelców górskich kapitana Gulnowa woda wyrzuciła na brzeg dwa trupy. Zniekształcone i okaleczone zwłoki przybyły do doliny jak gońcy. Dowództwo oddziału domyśliło się, co zaszło na szczycie. Kapitan Gulnow postanowił ruszyć na szczyt, by zdecydowanym natarciem strącić Niemców z łańcucha, póki się jeszcze na nim nie umocnili.

Ale zima zagrodziła już wszystkie przejścia pancernymi zaporami lodowymi. Jak dostać się na szczyt?

Oddział kapitana Gulnowa stał we wsi swańskiej. Na tej ogromnej wysokości, wśród majestatycznej przyrody mieszkali ludzie rośli i zręczni. Jedynym w całej wsi człowiekiem, znającym drogę zimową przez przełęcz na szczyt, był osiemdziesięcioletni Tariel Solani, który od dwu lat

---

HALINA NIKOŁAJEWA

DLA WAS

Dla was, poległych, którzyście piersiami
kraj zasłaniali, idąc mężnie na śmierć —
prawdziwymi, żarliwymi słowami
pisać się uczę. Dla was pisać chcę.

W czasach, gdyśmy się — z rozpaczą — cofali,
szeregi rzedły, nie jeden druh padł.
Ginący — wtedy mnie głos przekazali,
bym kiedyś o nich zaczęła mówić ja.

(Przekład T. Topolskiej)

już nie wychodził z domu. Choroba zwolna wyczerpywała jego siły. Spokojnie oczekiwał śmierci w swym domku z drewnianymi gołębiami na dachu.

Wieczorem kapitan Gulnow włożył odświętny mundur, obciągnął pasy i poszedł do Tariela. Chory starzec leżał na słomie kukurydzianej w malutkiej wojłokowej czapeczce, przy rozpalonym w samej izbie, na klepisku, ogniu i palił fajkę w milczeniu.

U Tariela przesiedział kapitan Gulnow cały wieczór.

O świcie oddział strzelców górskich ustawił się w szyku przed chatą Tariela. Strzelcy ubrali się jak na defiladę w ubrania górskie i grube buty z hakami. Na szyjach, opalonych z wysokogórskim słońcem, przewieszone mieli automaty, w dłoniach ich połyskiwały ciupagi, niebieskie okulary nad daszkami czapek, jak u robotników ze stalowni. Na plecach worki z materiałem wybuchowym, galety, konserwy, u pasa wiązki granatów.

Tariel był w lekkich sandałach ze skóry baraniej, w jakich Swanowie udają się na najdalsze wyprawy. Na plecy zarzucił torbę ze skóry kozicy i skłonił się przed żołnierzami. Jego żona Radimchan wyniosła „czuri" z winem — wielki dzban gliniany, który zakopuje się w ziemię, by wino fermentowało w nim i dojrzewało, oraz „czuwał" — pleciony koszyk z twardymi jabłkami górskimi. Stara każdemu żołnierzowi nalała po szklance wina do drewnianego kubka, wydrążonego w pniu grabowym. I każdy z żołnierzy wychylił kubek, kłaniając się gospodyni.

Starzec doświadczonymi oczyma popatrzył na twarze żołnierzy, zwrócone ku niemu z ufnością i nadzieją, i uniósłszy drewniany kubek, powiedział:

— Chory jestem i stary, moje dzieci, i spodziewam się śmierci. Ale cóż znaczy śmierć Tariela w porównaniu ze śmiercią gór? Jeśli wejdą tu Niemcy — góry umrą. Pójdę z wami, moje dzieci.

I stanął na czele kolumny. Wkrótce sznur żołnierzy znikł za załomem lodowca.

Następnego ranka oddział kapitana Gulnowa niespodziewanym natarciem z tyłu rozbił strzelców Hugo von Bischofa z dywizji „Róża górska" i strącił ich ze szczytu. Hugo von Bischof został martwy na śniegu. A kiedy strzelcy Gulnowa umocnili się na wzgórzu, kapitan wdrapał się na szczyt, wyjął ze stalowej szkatułki kartę wizytową von Bischofa i rzuciwszy na wiatr jej strzępy, napisał na kawałku papieru:

„Szczyt ten obronili przed Niemcami Eugeniusz i Lidia Czystiakowowie".

Maria Skłodowska-Curie

(1867—1934),

ur. w Warszawie, wyższe studia (fizyczno-matematyczne) odbywała w Paryżu. Wyszedłszy zamąż za wybitnego francuskiego uczonego, Piotra Curie (1895 r.), prowadziła z nim badania naukowe, poświęcone najpierw zjawiskom magnetycznym, następnie po odkryciu przez fizyka francuskiego, Becquerela, promieniotwórczości przeszła do prac nad nią. Po trudnych i w ciężkich warunkach materialnych przeprowadzanych badaniach przez poszukiwanie pierwiastków promieniotwórczych (odkrycie promieniotwórczości **toru**), przez specjalnego rodzaju promieniotwórczość minerałów **uranowych** dochodzą małżeństwo Curie w r. 1898 do odkrycia nowych pierwiastków **polonu i radu**. Był to wstęp do nowych badań, które po odkryciu olbrzymiej promieniotwórczości radu (2 miliony razy większej od uranu) stały się łatwiejsze i doprowadziły w rezultacie do powstania całej odrębnej nauki w promieniotwórczości. W uznaniu zasług na tym polu dostają państwo Curie i Becquerel w r. 1904 wspólnie nagrodę Nobla, a Piotr Curie zostaje profesorem w Sorbonie paryskiej. Niestety ginie on w nieszczęśliwym wypadku w r. 1906 i pani Skłodowska-Curie dalej sama prowadzi swoje prace, które teraz poświęca badaniom ciężaru atomowego radu, co ma niesłychaną ważność dla całej teorii rozpadu promieniotwórczego. W r. 1911 dostaje po raz drugi nagrodę Nobla. Odkryty przez nią rad zostaje wykorzystany w medycynie dla walki ze straszną chorobą, rakiem. Zmarła w r. 1934. Córka jej, Curie-Joliot, pracująca w tej samej dziedzinie, w tymże roku odkryła sposób sztucznego otrzymywania radu.

JULIUSZ WIRSKI

SKŁODOWSKA

(W chwili odkrycia „Polonu")

Ta pracownia nie błyszczy od niklu i miedzi,
Nie ma w niej chwytnych dłoni drogich instrumentów...
O, jakże trudno zmusić atom do spowiedzi,
Wyczytać myśl ukrytą, a z Boga poczętą!

Więc o czym w nędznej szopie, na odludziu marzyć,
Gdy wiedza raz na zawsze określiła atom?
Że prawda drgnie w atomie? Że uchyli twarzy,
Że w majestacie blasku pokaże się światu?

A wtedy co? — Rozpadnie się ten świat, czy zmieni?
Da ludzkości potęgę, czy w obłęd pogrąży?
Powiedz — Piotrze — schylony nad stertą kamieni: —
Jeśli w zmienność zdążamy — po co w zmienność dążyć?...

Sen mi płoszy spod powiek teza Bacquerela. —
Tajemne, przenikliwe promienie Uranu; —
A co, jeżeli wszechświat w męce się rozstrzela? —
A co, jeżeli krwawi niezgojona rana?

Ja wiem, jaka jest myśli badawczej fatalność
I wiem, że w śmierć, czy życie jednakowo patrzy; —
Ach, porwać w tryby wiedzy siłę niewidzialną: —
Niechaj prawdę ukaże i niech jej nie zatrze!

Ach, dognać szóstym zmysłem tajemnicę nagą,
Zmusić ją, by służyła stuleciom ludzkości,
A potem się przerazić nadludzką odwagą —
I zuchwalstwo odkupić potęgą miłości!

Powiedz, czy to możliwe — jeśli atom krwawi
I światu w pulsowaniu oddaje swe tchnienie,
Żeby śmiercią atomu od śmierci wybawić,
I cierpieniem natury — uleczyć cierpienie?

Ale Ty się uśmiechasz... i mówisz, że anioł
Biały przy Tobie stoi i duszę spowiada! —
Że Ci jestem latarnią morską i przystanią
I kwiatem rozchylonym słonecznego sadu!...

O, Piotrze! — kocham w Tobie ten uśmiech mądrości,
Te oczy, zapatrzone w wiekuiste sprawy.
I wiem, że kiedy dawno spróchnieją nam kości
Imiona będą płonąć promieniami sławy!

Ale sława, czym szumi? Jakim górnym wiatrem?
Jej lot, czy nam wystarczy? Jeśli chcesz, to goń ją...
Ja mam większe kochanie, którego nie zatrę: —
Mój kraj, który tak śpiewnie nazywasz — Polonią.

W tym kraju teraz dusze łamią się i bolą
A granice mu kreślą nasze serca — płaczem...
Daj, niech kruszyna blasku nazywa się — Polon,
Niech ojczyźnie jaśniejsze granice wyznaczy.

Bo ta jej nieśmiertelna wszelkiej wiedzy chwała,
Że, choćby jej ojczyzną była płacheć piasku,
Ona będzie po globie sztandarami wiała
W triumfie, w uniesieniu, w zachwycie i blasku!

To może małość duszy?... Patrząc w małe rzeczy,
Przez atom osiągając zrozumienie świata,
Jakże skłamię przed Tobą i sobie zaprzeczę,
Że najczęściej mi dusza do Polski odlata?

Jakżeż nie wyznam tego, tu, nad stertą blendy
Nad kamieniem, co życiem drgnął promieniotwórczym,
Że wiedzą nad świat cały rozszerzać się będę,
A sercem do Ojczyzny nad Wisłę się skurczę?

O, gdyby kiedyś pojął obudzony Naród,
Żeśmy tu w męce nowe wyznaczyli drogi,
Zdobywając oparcie z atomów pożaru
Dla cierpiącej ludzkości prometejski ogień!

Ach, słyszę Twą odpowiedź, widzę w oczu błysku,
W czoła nagłym skupieniu, mężnym i otwartym,
Że wierzysz każdej rzeczy, która promień ciska
I zapisuje blaskiem nową wiedzy kartę.

Daj mi czoło, — Twych myśli wspaniałą kopułę,
Czoło mędrca pogodne, choć z wysiłku blade:
Już pierwsze mgły tajemnic lekko się rozsnuły...
Idźmy dalej — do źródeł i początków Radu!...

Bo wszystko mózg zrozumie, zważy i oceni,
Choć dusza się pogrąży w smutku i rozterce.
Powiedz tylko: — czy starczy tych nowych promieni,
By prześwietlić rzecz świętą — proste ludzkie serce!! (1924)

INSCENIZACJE, TAŃCE i PIOSENKI

„BABA CHOCIAŻ NA URZĘDZIE, ZAWSZE BABĄ BĘDZIE"

Regionalny obrazek widowiskowy z góralskiego

w opracowaniu JÓZEFA MARDUŁY

OSOBY:

KATARZYNA PUTKA — gaździna.
JASIEK PUTEK — gazda.
KRZYŚ — gazda, sąsiad.
Sąsiadka.
Kowalka.
Śmierć.

Izba wiejska dość zamożnie urządzona. Na ścianach świątki, z lewej strony łóżko, w głębi drzwi.

Putkowa krząta się przy ostatnich przedświątecznych przygotowaniach. — Po chwili wchodzi Putek. — Skrzywiony, skurczony, obolały, blady. — Nic nie mówiąc siada na ławie.

PUTKOWO: Jesteś?

PUTEK: Jestem.

PUTKOWO: Bo cie, nie bęło.

PUTEK: A no prowda, nie bęło.

PUTKOWO: I cóż?

PUTEK: Ano nic. — Umiéroł bedem. — W dołku mie boli, w krzizak łomie; słabym. — W karczmie bełek, wódkim popieł, śledziemek przegriz i nie pomogło nic. — Umiéroł bedem i telo.

PUTKOWO: O Jasicku najukochańszy nie umiérojze jesce nie umiéroj. Co jo tu samo bedem robiéła siérota?! Nie takiś stary jesce cobyś umiérać musiał O Boze, Boże co też na drugim świecie z takiego półnicego bedzies mioł. Do roboty to ano nie jest, z janiołami śpiewać nie będzie, ba becy kiej baran, chyba zeby drzew urąbać, a i to nie dużo, bo siéły już zodnej nié ma. Ej Boze, Boze, Janieli Pańscy i wszyscy święci, ratujciez mnie, cobyk gdową na starość nie ostała.

PUTEK: Umieroł bedem dziś, albo jutro. Wyrko mi pięknie pościel, bo się połoze. Po księdza poślij, abym sie wyspowiadoł i nie jak niemiec umiéroł. Stół samodziałem nakryj, wody święconej w kropielnicy postaw, gromnice przi mnie połóz, zeby w chałupie po chrześcijańsku i po gospodarsku bęło.

PUTKOWO: *(krzątając się przy ścieleniu łóżka zawodzi):* O ludzie, ludzie. Tobym przecie wolało sama na tej smiertelnej pościeli lezeć niz ciebie na niéj widzieć. — Ale juz ściele Jasicku, ściele. Ino buty zezuj, zebyś pościeli nie pocioroł, bom jom przy wielkiej sobocie cystą przyoblekła. — O jo niescęsno, coz jo sama bez ciebie bedem robiéła. *(Płacze i zawodzi bardzo głośno).*

(Putek podczas przemowy i narzekań żony zdejmuje buty i w ubraniu włazi pod pierzynę).

(Do izby wchodzi sąsiadka).

SĄSIADKA: A coz to się u was Putko robi? Przecie, ze jaze na trzecią chałupę słychać.

PUTKOWO: Niescęście Kasiu się robi, niescęście!! — Jasiek umiéro.

SĄSIADKA: Putek umierają?

PUTEK: A no umierom.

SĄSIADKA: Na śmierzć zeście chory?

PUTEK: Nie wiem na śmierzć, czy nie na śmierzć, ale umieroł bedem i telo.

SĄSIADKA: Bo jakzeście nie na śmierzć chorzy, to kowolka na kazdą chorobe poradzi.

PUTKOWO: Kowolka? A tom w tym niescęściu cołkiem o niéj zabacéło. Ona mądra, ona na sytkie choroby sposoby zno. Ej, wiera zno.

SĄSIADKA: Poślijciez po nią.

PUTKOWO: Poślę.

CHŁOP: Posłać mozecie. Ale jo umieroł bedem i telo. *(Postękuje komicznie.)*

PUTKOWO: Głupiś zawse beł, i głupiś ostoł. — *(woła).* Maryśka! Maryśka! Chyboj mi zaroz po kowalkę, a wartko!

SĄSIADKA: Cekojciez kumo. Jo polece to warcyj będzie. Przecie do drugiej chałupy nie światy. Hale *(wychodzi).*

PUTKOWO: *(zawodzi)* Oj, Jasicku, Jasicku nomilejsy. Dy miejze Boga w sercu i nie umiéroj, bo cozbyk jo biédno siérota bez ciebie robiéła. *(Putek stęka).* Ftozby na ten przikłod nasego bycka na pasionke wodziéł, kie wieś ze to ino ty uradzis. Oj Jasicku, Jasicku. A wtóz by mi wóz drabiniasty do siana słozéł, kiebyś ty pomar. O Jezusicku kochany, ej kochany... *(płacze).*

PUTEK: Nie labiédź po próżnicy, kiej nicemu nie poradzis. Jakek ci rzek — umieroł bedem i telo.

(Słychać kroki, wchodzi kowalka, z sąsiadką i ewentualnie z jedną jeszcze kobietą).

KOWALKA: Pochwalony....

PUTKOWO: Na wieki wieków!

PUTEK: *(równocześnie)* A niech se tam bedzie!

MARIAN MIKUTA

Jako się Jędruś z Matką Boską Dospomagającą prawowoł

Bęło to wtej, kie Jędruś Galica, tén, co to później we wojsku jednerołem ostoł, béł se młodym juhasem i chodziéł w cifrowanyk porteckak i kapelusku z musielkami.

Wtej jesce w Zakopaném nie bęło takik wilijów jak teroz, ani cudactw zodnyk, ino se bęły górolskie chołpecki i to ik wiela nie bęło.

Przyjechali se panockowie smiasta, pocudowali sie to tu, to tam i kasi na ubocy Gubałówki uradzili se kilkoro chałup postawić. Sićko opatrzyli jako potrza, łod urzendów pozwoleństwo mieli, kawoł lasa na ubocy kupili i zaceni ten las ciońć. Hłopi ik radzi widzieli, bo robote przi tym wyrembie mieli i tak se to wiecie sło. Cieni jedle za jedlą, krzesali pieknie rąbanickami, az dośli do takie jedle co to ftosi na niéj na kwałe Bozom, cy ta skrony cego inksego, ba może i na okfire za swoje grzechy, łobrozek Matki Boskiéj Dospomagajoncéj w drewnianej kaplicce powiesiéł.

I nasi juhasi co ten las cieni, za podzwoleniem panocków, bez usanowanie lo Matki Boskiéj Dospomagajoncej łostawili ten jedle stoć. I łostała se wiecie na ubocy samiućko jako ten palic, równiućko a wysoko, ze hań trza bęło głowe dźwigać zeby wiersicek uźréć. Gałonzecków ni miała zodnyk ino na samym wiersycku cosi trzi abo i ştyry. I cosi sie tam w tyk gałonzeckak na wiersicku zagnieździeło.

Abo wrony, abo kawki, abo może i łorły, haj! Ale pewnikiem łorły, bo ludzie godali ze łorły i to z pisklentami. I taki se wiecie po cały okolicy hyr poseł, ze ftoren juhas te łorle pisklenta podbiere, ten dostanie najświarniejsom dzieuhce za zone. Hej! Jezusmaryjo Świento! Myśli se Jendruś Galica! Zebyk jo to te łorle pisklenta dostoł! Juzbyk jo wiedzioł co mom robić. Juzbyk jo się umioł z tom najświarniejsom dzieuchom zenić ej umioł. — A to mu juz przecie trzydzieści trzi roków sło i do zeniacki sie mu patrzało. I niewiela myślency poseł se pod ten jedle, klonk na ziemi, rence pobożnie słozeł, podniós do góry i tak powiado: Matko Bosko Dospomagajonco! Pomózze mi te łorle pisklenta podebrać, ba jo ci juz za to w kościele dwie świecki zaświecem! Ba juzbyk ci i trzi zaświecié, a fto wié, cy ni ştyry! Stanęło w końcu na pięci. — Jendruś Galica przezegnoł sie, wstoł, pluno̗n w gorzć i zacyno iś do góry po jedli. Spino sie, spino... idzie, idzie... wartko nozeckami ba, rencami przebiero i sie nie łobeźroł, ba i pocierza nie wysło, a łon juz beł na wiersicku, drugom wraziéł do gniozda i maco. Maco, maco... Jezusmaryjo Świento! Som! Som łorle pisklenta! Malućkie, mieńciućkie, ciepłe! Tako go wiecie radość chyciéła, ze ło mało tyk łorlik pisklentów nie podusiéł, a cały świat mu zacon jeździć przed łocami dookółka jak na łodpustowej ka-

ruzeli. Juz to wiecie uźroł se przed łocami jak wystrojony w nowe cifrowane portecki, w piekny nowy kapelusek z musielkami idzie z tom najśwarniejsom dzieuchom do ślubu, pote uźroł wesele, bockowanie koło te swoje dzieuchy i te reśte co po weselu i zeby to wiecie nie beło na jedli, ba to by sie na ziemi beł w zbójnickiego puściéł, tak mu sie juz same nozecki zrywały. Ale ze to kozdy gorol jest gorolem, tak w niém przemogła goralsko natura, spomnioł se ło tyk świeckak prziłobiecanyk Matce Boskiej Dospomagającej, ło tem jak na jedle seł i zarusicko go radość łopuściéła i zasumowoł sie na kwile. I tak se wiecie myśli: E!... Matko Bosko Dospomagająco! Cosi mi to zaletko przisło! Fto ta wié, cy jo byk sie beł bez Twoje pomocy nie łobeseł! To sę tyz tak rachujem, ze jak Ci ino śtyry świecki zaświécem to Ci wielgo krziwda nie bedzie... Ba jak byk Ci ino triz zaświéciéł to by Ci ta tyz starcéło... Jesce se dobrze tego nie pomyśloł, az tu wiecie gałonzecka co sie za niom Jendruś trzimoł zatrzescała se pieknie ładnie i hrast! złomała sie, Jendruś durk ło ziemie jaze bełkło. Pozbieroł sie wartko ze ziemi, chyciéł sie za ziebra co se ik ta kapke potłuk, wyciongnon rence ku Matce Boskiej Dospomagającej i pado: Matko Bosko Dospomagająco, jakoześty to jest naremno! Jo se ino pomyśloł, a Ty juz!...

Ułożył Jan Krupa — Kraków.

KWADRATY MAGICZNE



= rzeka na Ukrainie
= narząd wzrokowy
= część twarzy



= ptak
= sieć na ryby
= rzeka w Z. S. R. R.



= zwierzę domowe
= imię żeńskie
= inaczej belka

Czyta się od lewej strony do prawej — i z góry to samo.

BILETY WIZYTOWE

Jan i E. Krupa

Imię i nazwisko słynnego śpiewaka.

Dr. E. Tokar
Z. Charcik
R. Ramuz
E. Rawcik

Jaki jest zawód tych osób?

SZARADA

Pierwsze — zaimek znany
W gramatyce używany.
Drugie — król pustyni,
Całość straty wielkie czyni.

PUTKOWO: O witojciez moi kochani, witojciez. Bóg wos zséło, zebyście tego mojego borocka jakosi od śmierzci ratowali.

KOWALKA: *(Podchodzi do Putka).* A coz towom kumie?

PUTEK: A no nic, umiérać trza i telo.

KOWALKA: A no. — Jak kto na śmierzć chory to mu ludzka moc nie pomoze. Ale wyście nie na śmierzć chorzy.

PUTKOWO: Nie? Jo zaroz wiedziała, ze on nie na śmierzć chory i ze nie pomre jesce. Nie stary przecie i do świata zdatny, jak mało fto.

KOWALKA: Nie na śmierzć chory, bo ocy mo bure nie biołe.

SĄSIADKA: Nie biołe. A juści.

KOBIETA: Jak to sie trzeba na syćkiém znać.

KOWALKA: Uroki ktoś na wos rzuciéł, w dołku wos boli, słabyście i krew mocie zapaloną. — A na to sposoby są, są.

PUTKOWO: Są?

KOBIETA: Moiściewy.

KOWALKA: Na krwi zapolenie spalić włos z grzebienia, chorego dymem okadzić, wyrko trzy razy ze świecom obeńść, w trzy kąty splunąć, a za każdym razem mówić: Idź nocynie złego z pokoju tego. Potem z mietłą przy drzwiak stanąć i bić po chorobie jak będzie uciekała.

(Chwila ciszy).

PUTKOWO: Tak trza robić?

KOWALKA: Mówię przecie. — Grzebień mocie?

PUTKOWO: Jest.

KOWALKA: Grzebień z włosem dejcie, siarniki, łopatkę do węgli, świecę, wyrko na środek wysuńcie, syćka do okoła stańcie.

(Baby robią co kowalka każe).

(Gdy wszystko gotowe, kowalka staje u głowy chorego i mrucząc coś pod nosem zapala włosy na łopatce i okadza chorego. Potem zapala świecę i obchodzi łóżko. — Podczas tego wchodzi Krzyś).

KRZYŚ: *(zdumiony)* Niech bedzie...

BABY: Pst, cichojcie, cicho.

KRZYŚ: *(staje z boku).*

KOWALKA: *(obszedłszy trzy razy łóżko staje i mówi):* Teraz w kąty napluję, a wy kumo z miotłą kole drzwi stańcie.

(Putkowo staje w drzwiach, mocno trzymając miotłę, kowalka idąc od kąta do kąta spluwa, a kobiety powtarzają chórem: „Idź nocynie złego z pokoju tego").

KOWALKA: Bijcie Putko w chorobe, bijcie, a mocno.

(Baba wali w powietrze. — Obrzęd „zaczynania" skończony. Chwila ciszy, wszyscy patrzą na chłopa).

PUTKOWO: Lepiéj ci Jasiu? Lepiéj?

CHŁOP: Nie lepiéj, ba gorzéj, bo śmierdzi, jaz mgli.

KOWALKA: Mgli wos, bo choroba garłem wyłazi.

PUTKOWO: To jesce nie wylazła?

KOWALKA: Juz, ale jesce jest.

KRZYŚ: W imię Łojca i Syna... Powariowały baby. Chorobe mietłą bijął Zeście są głupie tok wiedzioł, ale ze takie głupie to nie.

SĄSIADKA: Cichobyście byli i złego nie wołali. Samiście zawdy głupi byli.

KRZYŚ: Głupi tom ta moze i jest. Ale wiém, ze na chorobe dochtora trzeba, a do skonanio księdza. Babskie leki nikomu jesce nie pomogły a niejednemu zaskodziéły. W kąty plują, włosy polą, smrodu narobią i telo. A przy Wielkiej Sobocie takie rzeczy robić to i brzyćko i grzéch.

KOWALKA: Jak sie wom nie podobo to nie patrzcie. — Halle! Putkowi do północy dobrze bedzie a jutro wstanie zdrów.

KRZYŚ: Dej Boze.

PUTEK: A jo wom mówie, ze umieroł bedem i telo!

KOWALKA: Na mnie do domu iść cas.

KOBIETA: Na mnie chéba téz.

SĄSIADKA: I na mnie. Robota jest.

KRZYŚ: O włośnie. Lepiéj zebyście kozdó w chołpie siedziała i swojego patrziła.

KOWALKA: Ostońcie z Bogiem.

PUTEK: Z Pane Bogie.

(Kowalka, kobiety, a z nimi Putkowo wychodzą, zostają Putek i Krzyś).

KRZYŚ: *(wyjmując fajkę).* Zapole se.

PUTEK: A to se zapol.

KRZYŚ: *(po chwili).* Bedzies umieroł?

PUTEK: Bedem.

KRZYŚ: A no kozdemu na koniec przyjść musi.

PUTEK: Prowda, ino zem jesce młody jest.

KRZYŚ: No młody, 80 roków mos, nie staryś.

PUTEK: Ba.

(Pukanie do drzwi).

PUTEK: Na co pukos? Właź kiej ci sie na zimnie nie chce stoć.

(Wchodzi śmierć, baba wielka i gruba w kożuchu).

ŚMIERĆ: Niech bedzie pochwalony Jezus Chrystus.

KRZYŚ i PUTEK. Na wieki wieków. Niechze bedzie.

PUTEK: Siądźciez.

ŚMIERĆ: Nie na siedzeniem tu przisła.

PUTEK: To se postójcie. Mnie ta syćko jedno.

ŚMIERĆ: Nie na staniem tum przisła.

PUTEK: Je, sto dudków, to się połozcie.

ŚMIERĆ: Nie na lezeniem tu przisła.

PUTEK: To sie powiście, bo juz inacyj nie wiem, a som wos nie powiesem, bom za słaby cobyk takiego kloca nosieł.

ŚMIERĆ: Wstań śmiertelniku.

PUTEK: Bo co?

ŚMIERĆ: Bedem cie brać.

PUTEK: Mnie?

ŚMIERĆ: Cie. — Śmierć jestem.

(Krzyś i chłop śmieją się głośno).

PUTEK: Śmierć? Ratujciez mnie Wszyscy Święci zebyk z tego śmiechu nie pękł.

KRZYŚ: Spiela się baba i sama nie wie co plecie. — Siądźciez, moze wom sie zrobi lepiej.

ŚMIERĆ. Nie śmiejcie sie. — Ze śmierci nikt się jesce nie śmioł.

PUTEK: Widzis Krzyś, to my się piersi śmiejeme.

KRZYŚ: A ftoz kiedy widzioł taką śmierć? Kose gdzie mos?

ŚMIERĆ: Kosa jest. *(Wyciąga kosę z za kożucha, próbuje ostrości palcem).* Pote załozem na storc na kiju od mietły.

PUTEK: *(do Krzysia)* Ej widzis, kose mo. Gotowa mnie naprowde pokalicyć, a co jo takiemu grzmotowi zrobiem?

KRZYŚ: Nie bój sie nic.

PUTEK: Co zrobis?

KRZYŚ: Nie wiem jesce, ale bedem wiedzioł.

(Śmierć osadziwszy kosę na kiju od miotły, zbliża się do łóżka).

KRZYŚ: Zacekoj, moja kochana. Pokoz no te kose. Ostro ona?

ŚMIERĆ: Ostro.

KRZYŚ: Pokoz.

(Śmierć podaje mu kosę).

KRZYŚ: Wies co od tyj kosy to i ślidź ostrzejszy. Musis ją troche pobrusić.

ŚMIERĆ: Pobrusić?

PUTEK: No juści. Jak mi mos głowe uciąć, to ostrą kosą, tępą nie chce.

ŚMIERĆ: A brusik mos?

PUTEK: Jest tam, na przypiecku.

(Podczas gdy śmierć znalazła osełkę, ostrzy kosę, Putek i Krzyś rozmawiają).

KRZYŚ: Teroz mome chwilę casu. Jak cego mądrego nie wymyślime, to cie ta baba zabije.

PUTEK: Ba, zabije.

KRZYŚ: *(Po chwili milczenia).* Hej wis co?

PUTEK: Jak powies to bedem wiedzioł.

KRZYŚ: Powiadali mój dziadek, ze śmierzć w Wielką Niedzielę w samo Zmartwychwstanie Pańskie siely nijakiej nie mo i ludzi brać nie moze.

PUTEK: Moze to być.

KRZYŚ: Jakby ją tak kwile zagodać, do północy już nie daleko, to pote juz Wielko Niedziela.

PUTEK: Dobrze mówis. Mów.

KRZYŚ: No to tak. Kiedy śmierzć baba, a baby plotki i bojki lubią, to se z nią pogodoj o Marynie.

PUTEK: O Marynie? A o ftorej?

KRZYŚ: No o tej co Józek do niej z wódką posyłoł.

PUTEK: O Walcakowej?

KRZYŚ: O niej.

(Śmierć wyostrzyła kosę i znów do Putka idzie).

KRZYŚ: Zacekoj no śmierzci kochana, bobym sie coś chcioł spytoć.

ŚMIERĆ: Co?

KRZYŚ: Znos ty Walcakówne?

ŚMIERĆ: Którą? Marynę?

KRZYŚ: Maryne.

ŚMIERĆ: Jakze, znom. — Dwa lata jakem ij dziadka brała. Bo co?

KRZYŚ: E nic, ino ze Józek Pitoń z wódką do niej posyłoł.

ŚMIERĆ: Co mówis? Do Maryny Józek?!

KRZYŚ: I cóz sie tak dziwis? Nie fajno dziewka jest?

ŚMIERĆ: Fajno to ona jest i bogato, ino ze przedtem Jasiek Torbiarzów ku niej zachodzieł i myślałam, ze na zapowiedzi do.

KRZYŚ: Ba, onby zaroz doł, ale ona go nie chciała.

ŚMIERĆ: Jaśka nie chciała? Bez co?

KRZYŚ: Duzo by mówić, a ty moze casu nie mos?

ŚMIERĆ: Chwile mom.

KRZYŚ: No to se siądź.

(Śmierć siada).

PUTEK: Siednijciez, siednijcie. Syrzok, tu fajny świąteczny mom, a i kawy gornuś by sie tyz naseł.

ŚMIERĆ: Kawy? Gdziez ona jest? Przynieś a wartko?!

(Chłop wylazł z łóżka, szuka po kredensie, stawia na stole placek ze serem, nalewa kawę).

KRZYŚ: Ze przy Wielkiej Sobocie wódką nie mozna, niechze bedzie kawą. Wase zdrowie! Przepijeme.

ŚMIERĆ: Niechze bedzie. — Dziękuje.

PUTEK: No to teroz za Krzisiowe.

KRZYŚ: Pieknie dziękuje.

ŚMIERĆ: No i za gospodarskie.

PUTEK: Dziękuje. A przegryzojcie, przegryzojcie!

ŚMIERĆ: Kawa fajno rzec jest. U nos na drugiem świecie tego nie dostanie. — Ale powiadejcie, jak to z tym Jaśkiem beło? Bez coz go nie fciała?

GRY I ZABAWY ZESPOŁOWE W ŚWIETLICY

PODCHODZONY

Do gry konieczna nieduża piłka szmacianka, lub lana piłka gumowa. W grze bierze udział dowolna liczba uczestników. Jeden spośród nich wyznaczony przez losowanie staje pod ścianą, twarzą do ściany, zaś reszta uczestników ustawia się w pewnej odległości od niego rzędem lub półkolem. Wszyscy podają sobie przerzutami piłkę z rąk do rąk i od czasu do czasu któryś z uczestników rzuca lekko piłką w plecy uczestnika stojącego twarzą do ściany. Ten natychmiast po uderzeniu go piłką odwraca się do ściany i z min i zachowania się uczestników gry stara się odgadnąć, kto go piłką uderzył. Jeżeli odgadnie trafnie, wówczas zamienia rolę z owym uczestnikiem, który weń piłką rzucił, natomiast jeżeli nie odgadnie kto go uderzył, zostaje w dalszym ciągu jako cel pod ścianą.

Zasady gry: Uderzenie piłką stojącego pod ścianą uczestnika powinno następować w odstępach czasu nie dłuższych jak pięć do ośmiu sekund. Po oglądnięciu się stojącego pod ścianą, ten z uczestników, który uderzył go piłką powinien starać się zachować w sposób jak najbardziej naturalny, natomiast inni uczestnicy powinni swoim zachowaniem zdradzać pozory, że to oni piłkę rzucili, by w ten sposób zmylić (podejść) zgadującego.

Wartość wychowawcza: Gra kształci pewność i opanowanie rzutu, zdolność opanowywania wyrazu twarzy oraz szybkość orientacji.

WYŚCIGI PIJANYCH

Liczba uczestników gry, nie licząc prowadzącego, który jako sędziujący w grze udziału nie bierze, musi być parzysta. Zespół dzieli się na dwie równe grupy, które stają równolegle do siebie w dwóch szeregach. Przed szeregami znaczymy na podłodze granicę a w pewnej odległości możliwie największej od granicy rysujemy przed każdym szeregiem dużą ósemkę. Ustawienie ilustruje poniższy plan sytuacyjny:

Na dany znak przez prowadzącego grę, dwaj pierwsi uczestnicy stojący na początku szeregów wybiegają przez granicę, każdy w kierunku swojej ósemki, drogą oznaczoną linią kropkowaną. Dobiegłszy do ósemki, każdy musi obiec po konturze całej swojej ósemki, zaczynając w prawo. Po przebiegnięciu konturu, biegnie do swojego szeregu, dotyka stojącego na jego czele partnera dłonią prawej ręki w jego prawe ramię i przechodzi na koniec szeregu. Dotknięty w ramię biegnie do ósemki, obiega jej kontur, wraca do swego szeregu i dotyka partnera stojącego na czele w sposób poprzednio opisany w ramię. Gra trwa tak długo, dopóki wszyscy uczestnicy jednego z szeregów po obiegnięciu konturu ósemki nie powrócą na swoje miejsce. Grupa, która tego pierwsza dokonała, wygrywa.

Zasada gry: Bieg winien się odbywać prawidłowo, na palcach, z oddechaniem przez nos. Uczestnikowi gry

stojącemu na czele nie wolno wybiegać wcześniej, dopóki nie zostanie na swoim miejscu przed granicą dotknięty w ramię przez powracającego z biegu partnera. Uczestnicy wybiegający za wcześnie za granicę, muszą wrócić, dać fant i rozpocząć bieg na nowo. Wszystkich uczestników obowiązuje pośpiech. Kontury ósemek muszą być dokładnie obiegane, a uczestnicy chcący sobie skrócić drogę dają fant i rozpoczynają bieg na nowo od granicy. Urozmaiceniem gry może być odbywanie biegu przez uczestników ze zwykłymi łyżkami stołowymi w ręce, na których położono po jednym dużym surowym ziemniaku. W wypadku wypadnięcia ziemniaka z łyżki nie wolno biec dalej, dopóki się ziemniaka z ziemi łyżką bez pomocy rąk nie podniesie.

Wartość wychowawcza: Gra wyrabia sprawność i szybkość ruchów, oraz zdyscyplinowanie grupowe.

ZAGADKA

Przed pracą czarny,
lub zardzewiały —
po pracy lśniący,
jak lustro,
odwraca glebę,
by plon wspaniały
i chleb zapewnił
na jutro.

ZAGADKA — LOGOGRYF

Przez — M — pokarm fikcyjny,
Przez — S — droga śnieżnej bieli,
Przez — P — to młoda dziewczyna.
Przez — W — przyrząd do kąpieli.

ROZWIĄZANIE z NR. 8.

1. Sc2—b4! grozi 2 Sb4×d3++

obrony
tematowe
1 — — —, W—d4;
1 — — —, Sf3—d4;
1 — — —, Sf5—d4;
1 — — —, d5—d4.
2. H×f3++.
2. H×g5++.
2. H—g4++.
2. W—e4++.

obrony
poboczne
1 — — —, W—3 dow.;
1 — — —, W×d2;
1 — — —, Sf3—dow.;
1 — — —, S×d2;
2. S×d5++.
2. S++.
2. H×g5++.
2. S×d3++.
i t. d.

Drobne duale w grach pobocznych są bez znaczenia.

Zadanie przedstawia czarną kombinację związaniową. W groźbie matowej wiążą białe czarną figurę, grożąc matem w jej zasięgu działania. Czarne bronią się, zapobiegając związaniu przez włączenie na linii związania swojej figury przesłaniającej. W ciągu kluczowym mamy dodatkowy motyw, utrudniający rozwiązanie — uwolnienie czarnej figury. Gra próbna 1 S—e1- rozbija się o W—a3 (bce3), gdyż brak teraz ciągu matującego 2 S×d5. 1 W×c4+? rozbija się o d×c4+!

ROZWIĄZANIE z NR. 8.

GIEWONT

„Stary Giewont na Tatr przedniej straży —
Głową trąca o lecące chmury.
Czasem uśmiech przemknie mu po twarzy,
Czasem brwi swe namarszczy ponury.
I jak olbrzym w poszczerbionej zbroi —
Nad kołyską ludzkich dzieci stoi".

A. Asnyk

KRZYŚ: Z Jaśkiem? Wiecie co? Przepijmé przed tém chociaż kawą, ale na prawą nogę.

(Piją)

KRZYŚ: A z Jaśkiem to tak.

ŚMIERĆ: *(z zaciekawieniem, przysuwa się)* No, no.

KRZYŚ: Bo to drudzy mówią, ze on nie cołkiem dobrze mo w głowie. Po lesie som chodzi, do siebie som gado, prześpiewki zdajo.

ŚMIERĆ: Prześpiewki som z siebie układo? He!

PUTEK: Przegryzojcie moi mili, przegryzojcjez.

ŚMIERĆ: A to przegryzojmy. Dawnom syrzoka nie jadła.

(Jedzą).

KRZYŚ: A jo słysołem we świecie, ze jak fto jest taki jak ten Jasiek, to długo nie pozyje.

ŚMIERĆ: O tym jo nojlepiéj wiém.

PUTEK: No któzby wiedzioł jak nie śmierzć.

KRZYŚ: No i jak prowda to nie pozyje?

ŚMIERĆ: Ano, obocemé. Jo tu na tej ksiązce sićkik po kolei i po literak mom popisanyk. *(Wyciąga zza pazuchy zeszyt i rozkłada).*

KRZYŚ: No, no?.

ŚMIERĆ: *(Szuka).* Torbiorz Jon, Torbiorz Jon... jest. Zamrze dnia piersego listopada tego roku.

PUTEK: Piersego listopada?

ŚMIERĆ: Tak jest.

PUTEK: *(przerażony):* No a jo? Dziś? Na dziś jek tam zapisany?

ŚMIERĆ: Nie. Tyś mioł jesce porę lat pozyć, aleś dziś na śmierzć cekoł, o śmierzci myśloł, śmierzci przizywoł, chocia cie tylko brzuch boloł, to śmierzć na wezwanie przisła.

KRZYŚ: Ej, cuda powiadocie.

ŚMIERĆ: Jakbym jo chciała opowiadać, to bełoby cego słuchać.

KRZYŚ: No to opowiadojciez co.

ŚMIERĆ: Kiedy casu nié mam. Chłopa mi cas brać, bo do północy tylko cas mom. Pote Zmartwychwstanie Pańskie i siéły nijakiéj już śmierć nié mo. A jakbym cie nie wzieła, to miałabym potem w niebie, miała.

KRZYŚ: To do północy tylko moc mocie?

ŚMIERĆ: Do północy.

PUTEK: No to mnie juz nie weźmiecie, bo po północy jest.

ŚMIERĆ: Co mówis? Po północy?

KRZYŚ: *(wyjmuje zegarek).* Sama sie przipatrzcie.

ŚMIERĆ: *(łapie się za głowę i lamentuje).* Prowda. Po północy. Ej, Boze, Boze, co tyz to godanie i plotki mogą złego cłowiekowi narobić. Bede jo miała ze swoje, bede...

KRZYŚ: Nie mortwcie się. Zmartwychwstanie Pańskie ućcić trza nie zmartwieniem, ba wesołością. Zaśpiewojmé sę lepiéj i Pana Jezusa godnie pochwolmé. *(śpiewa).*

Bo Zmartwychwstoł samowładnie
Jak przepowiedzioł dokładnie"...

ŚMIERĆ i PUTEK: *(przyłączają się):* Alleluja, alleluja...

(Całość obrazka przy jego wykonywaniu należy potraktować groteskowo).



Świetlice

w Województwie Krakowskim

POWIAT KRAKOWSKI

Akcja rozbudowy świetlic w powiecie krakowskim postępuje żywo naprzód. Otwarto już 123 świetlice. W świetlicach tych rozwijają żywą działalność sekcje samokształceniowe, śpiewacze, muzyczne, literackie i sportowe. Bibliotek czynnych jest 21, z ogólną ilością 2.566 tomów, z tego naukowych 500 tomów, beletrystycznych 2000, młodzieżowych 66. Ogólna ilość czytelni publicznych 4, w których dostępnych jest 27 czasopism. Największym zainteresowaniem cieszą się „Dziennik Polski", „Świetlica Krakowska", „Przekrój". — Gazetek ściennych założono 46. Imprez urządzono 39, wieczornic 30. Tematami ostatnich odczytów były: akcja repatriacyjna, oraz protesty przeciw wyrokowi na Polaków w Paderborn.

BIAŁA

Akcja świetlicowa na terenie tego okręgu przynosi wspaniałe rezultaty. Czynnych jest dotychczas już 33 świetlice, częściowo uruchomionych lub w stadium reorganizacji 13.

NOWY TARG

W Nowym Targu akcja zakładania świetlic rozwija się bardzo pomyślnie. Ostatnio dokonano otwarcia świetlic przy Komisariacie Mil. Obywatelskiej, oraz świetlicy i Kasyna przy Tow. Przyjaciół Żołnierza.

Uroczystość zaszczycili swą obecnością przedstawiciele władz, oraz licznie społeczeństwo. Szczególniej otwarcie świetlicy M. O. nosiło charakter wzajemnej serdeczności oraz chęci zbliżenia społeczeństwa do Milicji, które widzi w niej swoich obrońców.

Po części oficjalnej odbyły się w Domu Kultury występy artystyczne, śpiewy, recytacje oraz dancing.

KĄCIK ŚWIETLICOWY

W każdy czwartek od godz. 18-tej min. 10 do 18-tej min. 20 nadawana będzie stale w ogólno-polskim programie radiowym audycja pt. „Kącik świetlicowy", na którą złożą się odczyty, słuchowiska i „Skrzynka radiowa Kącika świetlicowego". Pierwsza audycja „Kącika świetlicowego" nadana była 27-go września.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Z OBOZÓW KAŹNI. Amerykański Urząd Informacji Wojennej podał, że w obozie koncentracyjnym w Gardelegen w ostatniej chwili przed przyjściem wojsk alianckich hitlerowcy wymordowali w sposób bestialski 3.000 robotników cudzoziemskich. Wszystkich wepchnięto do stodoły ze słomą oblaną benzyną, którą następnie podpalono. Jedynie dwóch — jeden Francuz i jeden Węgier — zdołało się uratować.

W podziemnej fabryce broni V 1 i V 2 w Nordhausen więźniowie pracowali 18 godzin na dobę. Gdy Amerykanie tam przybyli, znaleźli 2.017 trupów rozrzuconych po wszystkich zakątkach. Według obliczeń corocznie w miejscowych krematoriach palono 9.000 ludzi.

W Buchenwaldzie, jednym z największych obozów koncentracyjnych jeszcze po przybyciu Amerykanów marło dziennie po 100 więźniów z wycieńczenia na tyfus i gruźlicę. Według znalezionych rejestrów obozowych, zginęło w tym obozie ponad 50.000 osób.

W obozie koncentracyjnym w Belsen zginęło ogółem ok. 4 miliony ludzi. Krematoria nie mogły podołać paleniu zwłok, wobec czego chowano je w grobach po 500 do 1000 zwłok w każdym. Z głodu zachodziły tutaj wypadki ludożerstwa.

W Ohrdrufie ostatniej zimy zginęło 4000 więźniów. Wojska amerykańskie znalazły tu setki trupów pomordowanych drągami i bagnetami.

Wszędzie, gdzie wojska sprzymierzonych natknęły się na obozy koncentracyjne, żyjący w nich jeszcze ludzie podobni byli do żywych kościotrupów z obłąkanymi oczyma, pokaleczeni, z połamanymi kośćmi. Przede wszystkim napotykano wszędzie na tysiące trupów mężczyzn, kobiet i dzieci pomordowanych, zdruzgotanych, pokrzywionych z przeżytego bólu.

To tylko 5 obozów, a gdzie Oświęcim, Majdanek, Treblinka, Oranienburg, Dachau, dziesiątki innych?

WOJNA ŚWIATOWA 1939—1945 pod względem wydatków, zniszczeń materialnych, przestrzeni ogarniętych przez nią, strat w ludziach, nie ma odpowiednika w historii ludzkości. Trwała ona 5 lat, 8 miesięcy i 8 dni, a więc mniej więcej o 20 miesięcy dłużej, niż wojna z roku 1914. Brało w niej udział 56 narodów, z tego 49 po stronie państw alianckich, a 7 po stronie „osi": Niemcy, Japonia, Włochy, Bułgaria, Rumunia, Węgry i Finlandia. W pierwszej wojnie światowej walczyło 28 państw, w tym 23 narody alianckie przeciw 5 państwom centralnej Europy. Wydatki wojenne przekroczyły pięciokrotnie sumę wydatków pierwszej wojny światowej i osiągnęły ok. tryliona dolarów. Stany Zjednoczone wydały przypuszczalnie 300 miliardów dolarów, Anglia ok. 70 miliardów dolarów, ZSRR 84 miliardy, Chiny setki miliardów dolarów chińskich. Podczas obecnej wojny zginęło w Europie 14 milionów żołnierzy, a 45 milionów zostało rannych. W poprzedniej wojnie zginęło ogółem 10 milionów. Sami Niemcy w obozach koncentracyjnych wymordowali 28 milionów cywilnej ludności, nie licząc zabitych od bomb. W poprzedniej wojnie zginęło ogółem 10 milionów.

OKUPACJA JAPONII przez wojska alianckie odbywa się bez przeszkód. Do okupacji ma być użyte tylko 200.000 żołnierzy. Pierwszym celem okupacji jest całkowite wytępienie militaryzmu japońskiego i uczynienie z Japonii kraju demokratycznego. Japonia zostanie pozbawiona armii, marynarki, lotnictwa wojskowego i cywilnego, oraz tajnej policji. Produkcja wszelkiej broni będzie wstrzymana. Wielkie koncerny przemysłowe i bankowe zostaną rozwiązane. Cały majątek cesarza zostanie zajęty do czasu zapłacenia odszkodowań. Nadto Japonia będzie musiała dostarczać towary i usługi armii okupacyjnej. W ten sposób Japonia zostanie pozbawiona możności podjęcia jakiejkolwiek wojny. Amerykanie uważają, że okupacja Japonii potrwa najmniej 100 lat. Obecnie aresztuje się japońskich przestępców wojennych. Ci „germanie wschodni" też muszą poznać gorzki chleb i gorycz niewoli.

NARODY AZJI CHCĄ WOLNOŚCI. W Indiach Hindusi domagają się od Anglii uznania niepodległości Indyj, wycofania wojsk, unarodowienia hinduskiego przemysłu i kopalń, oraz upaństwowienia wielkiej własności ziemskiej i oddania do uprawy hinduskim spółdzielniom rolniczym.

W kolonii holenderskiej na wyspie Jawie wybuchło powstanie. Powstańcy utworzyli niezależny rząd i domagają się wolności.

Również w Indochinach francuskich wielotysięczna armia powstańców maszeruje na stolicę Sajgon. Wojska brytyjsko-francuskie starają się uśmierzyć powstanie.

W Chinach nastąpiło porozumienie między gen. Czang-Kai-Szekiem a komunistami. Zostanie utworzony wspólny rząd chiński, który rozpisze powszechne wybory. Będą to pierwsze wybory, przeprowadzone w całym kraju od roku 1906.

KONFERENCJA PIĘCIU MINISTRÓW. W Londynie przez siedemnaście dni obradowali ministrowie spraw zagranicznych ZSRR, Ameryki, Anglii, Francji i Chin. W pierwszym rzędzie konferencja zajęła się zadaniem włączenia Istrii, Wenecji Julijskiej, Triestu, Fiume i Gorycy do Jugosławii oraz Dodekanezu i kilku mniejszych wysp do Grecji. Wymienione prowincje i wyspy należą obecnie do Włoch. Włosi są przeciwni uszczupleniu ich ojczyzny. Rada ministrów przekazała sprawę granicy jugosłowiańskiej specjalnej komisji, oraz zaprojektowała utworzenie z Triestu wolnego miasta pod kontrolą międzynarodową. Co się tyczy kolonij włoskich ZSRR projektuje oddać je pod zarząd mocarstw zwycięskich. Następnie Anglia, Ameryka i Francja postanowiły wysłać swoich przedstawicieli na wybory do Grecji, celem informowania ich rządów o przebiegu głosowania. ZSRR zrezygnował z wysłania przedstawiciela, gdyż uważa to za mieszanie się w wewnętrzne sprawy Grecji. W dalszym ciągu radzono nad zawarciem pokoju z Rumunią, Bułgarią, Węgrami i Finlandią. Konferencja na skutek zmiennych zdań między poszczególnymi mocarstwami właściwie zakończyła się bez rezultatów. Obrady jej mają być wznowione za 6 tygodni.

ZE WSPOMNIEŃ OKUPACJI

(Cykl rysunków M. Wątorskiego)

Fot. Stanisław Mucha



Tak przesłuchiwało się „przestępców, kryminalistów" w więzieniach całej Polski. Jedni padali pod razami niemieckich oprawców, drudzy oddawali młode życie rozstrzeliwani w ulicznych egzekucjach. Zostawał po nich tylko afisz z listami straconych. Zostawał tylko jęk przerażonej matki i głucha nienawiść w sercach.



WYDAWNICTWA BIBLIOTEKI ŚWIETLICY KRAKOWSKIEJ

Juliusz Wirski — „Powrót". Nakładem Wydawnictwa „Świetlicy Krakowskiej" ukazała się sztuka w jednym akcie p. t.: „Powrót". Sztuka ta przeznaczona jest na sceny świetlicowe i robotnicze. Porusza zagadnienie związane tematycznie z czasami dzisiejszymi, chociaż przyczyna zawartego w niej konfliktu tkwi w niedalekiej rzeczywistości wojennej. Problem zdrady, do której dochodzi człowiek upodlony wewnętrznie, jest problemem wiecznie aktualnym, gdyż ludzi słabych nigdy na świecie nie zabraknie. Reakcja człowieka mocnego na zdradę musi być jednak uwarunkowana dobrem ogółu. Nie wolno dać się ponieść źle pojętemu poczuciu człowieczeństwa. Towarzyszowi, który zdradził, nie wolno przebaczyć. Sprawiedliwości musi stać się zadość, gdyż ktoś, kto zdradził raz i na drugi raz zdobyć się może. Jest więc jednostką dla państwa szkodliwą. Ujęciem zdrajcy kończy się „Powrót".

„Gry towarzyskie i zespołowe w świetlicy" Mariana Mikuty, wydawnictwo Biblioteki „Świetlicy Krakowskiej", ukaże się już w najbliższych dniach na półkach księgarskich. Broszura ta zawiera 135 wszelkiego rodzaju gier i zabaw i będzie zaspokojeniem szeregu żądań naszych Czytelników. Zamówienia w cenie 30 zł. za egzemplarz przyjmuje redakcja „Świetlicy Krakowskiej".

ŚWIETLICOWCY MÓWIA

O współpracę międzyświetlicową

Minęło u nas już parę miesięcy od chwili, gdyśmy jako jedni z pierwszych, bo już 28 kwietnia br. otwarli uroczyście naszą świetlicę. Otwarcie to dokonało się z tak dużą ilością uczestników, z tak wspaniałym nastawieniem do przyszłych poczynań świetlicowych, że wydawało się, iż świetlica nasza będzie codziennie przepełniona. Niestety, późniejsza rzeczywistość wykazała coś innego. Projekty skończyły się tylko na zapale, powstało szereg innych świetlic kolejowych z centralną świetlicą Zw. Zaw. Kolejarzy przy ul. św. Filipa, świetlice PPR-u i PPS-u, organizacji mocnych, dysponujących wszelkimi środkami dla ożywienia życia świetlicowego i one ściągnęły nam i tak niezbyt wielką ilość pracowników mieszkających w Krakowie. Tak więc po paru odczytach i kilku wieczorkach towarzyskich praca w naszej świetlicy stanęła na martwym punkcie. Niesprzyjającą porą do pracy był też okres letni, kiedy każdy woli po pracy wyjść na przechadzkę, niż siedzieć w dusznym lokalu. Mamy duże trudności finansowe i w związku z tym przychodzą mi na myśl pewne wnioski. Czyby nie dobrze było, gdyby inne świetlice przez występy w naszej świetlicy swych sekcyj, np. dramatycznych, muzycznych, tanecznych, czy innych nie wrozmaitcily nam na*go życia. Wiem, że pewne świetlice dysponują aparatami filmowymi do wyświetlania przeźroczy, że istnieje sekcja kukiełek, że urządzono już gdzie indziej szereg przedstawień, występów tanecznych i świetlice te przez swych członków mogłyby nam swe umiejętności zaprodukować, co nie pozostałoby u nas bez echa, a pociągnęłoby do pracy. Uważam, że Dom Kultury powinien przynajmniej raz w miesiącu urządzać informacyjne zebrania kierowników świetlicowych, na których te sprawy można by omówić, co bezwzględnie przyczyniłoby się do podniesienia poziomu życia świetlicowego i obudziłoby w pracownikach zainteresowanie do większego współżycia. Nie powinno się zamykać tylko we własnym ciasnym kółku, ale pomagać będącym w trudniejszych warunkach. Tylko wzajemna wymiana wspólnych wartości może podnieść stan naszej kultury.

Cieszę się, że jednak nasza świetlica nie stoi zupełnie pusta, gdyż korzystają z niej harcerze jako miejsca swej zbiórki, jak i sportowcy z K. K. S. Olsza, sekcji bokserskiej. Mam nadzieję, że głos mój nie przejdzie bez echa i w najbliższym czasie wniosek mój celem zacieśnienia współpracy międzyświetlicowej zostanie urzeczywistniony.

Albin Sułek
Świetlica Parowozowni Kolejowej
w Krakowie



Kącik Szachowy

Ciekawa partia, jaka miała miejsce w XIV mistrzostwach ZSRR na rok 1945 w Moskwie, rozegrane przez Koblenza i Lilienthala i zzakończone zwycięstwem ostatniego.

Białe Koblenz — czarne Lilienthal.

1.	e4	e5
2.	Sf3	Sc6
3.	d4	e×d4
4.	S×d4	Gc5
5.	Sb3	Gb6
6.	Sc3	d6
7.	Ge2	Hh4
8.	0—0	Sf6
9.	g3	Hh3!
10.	Kh1	h5
11.	Sg5	Sg4
12.	G×g4	h×g4
13.	Gh4	Se5
14.	Sd2	Sf3
15.	S×f3	g×f3
16.	Wg1	g5!
17.	Sd5	He6
18.	H×f3	g×h4
19.	g×h4	Gd7
20.	Sg6+	Kd8
21.	c3	Gc6
22.	Wg7	W×h4!
23.	Wg8+	Ke7
24.	W×a8	H×f6
25.	H×f6+	K×f6
26.	f3	W×e4!

Sytuacja białych beznadziejna. Jakikolwiek ruch królem nie ratuje białych przed matem.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Bogdan Czerwiński — Warszawa. Dziękujemy za miły list. Wiersze nie nadają się jeszcze do druku, ale proszę pisać dalej, gdyż ma kolega zdolności.

Szczegodzińska Lucyna — Radzymin. Możliwe, że skorzystamy. Prosimy o współpracę.

KĄCIK SPORTOWY

O sport masowy

Każda czynność, wykonywana przez człowieka, powinna mieć pewien sens głębszy. Powinna być wykonywana z myślą osiągnięcia jakiegoś rezultatu. Ta zasada obowiązuje w sporcie, jako części wychowania fizycznego. Sport powinien uprawiać każdy, powinien go traktować jednak jako czynnik — u młodych pomagający do rozwoju fizycznego człowieka, u starszych utrzymujący ich tężyznę fizyczną na odpowiednim poziomie. Stwierdzone zostało przez świat lekarski, że tak pojmowany sport, tak uprawiany, pozwala człowiekowi bez chorób przechodzić przez życie. Natomiast ci, którzy nastawiają się na osiąganie specjalnie rekordowych wyników — które z punktu widzenia lekarskiego są skrajnościami, a tych, jak wiadomo, natura nie znosi — zamiast tryskać zdrowiem, często jakby na urągowisko — popadają w różne stany chorobowe — szczególnie serca. I kariery żadnej nie robią, gdyż dopóki są młodzi, stanowią atrakcję dla tłumów, a gdy siły ich się z wiekiem wyczerpią i młodzi zaczynają robić im konkurencję, odchodzącą na bok i świat zapomina o nich. Odchodzą zgorzkniali, zawiedzeni, z pretensjami do wszystkich, całego otoczenia, tylko nie do siebie. Często są to ludzie, którzy poświęciwszy całą młodość jedynie sportowi i rekordowi, nie uzyskali nawet odpowiedniego wykształcenia fachowego i będąc eliminowani z czynnego życia sportowego, stają się ciężarem społeczeństwa, zamiast jego twórczymi ogniwami.

Takie wypadki przed wojną były u nas często spotykane.

Obecnie powiał przez świat sportowy inny prąd. Patrzymy na wychowanie fizyczne i sport jako na czynnik ważny pod względem państwowo-społecznym. Zdajemy sobie sprawę, że sport powinien objąć jak największe masy naszego społeczeństwa, ale sport jako element życia, wyżej nakreślony. Nie ulega wątpliwości, że gdy masy będą uprawiały sport, wyłoni się z jego szeregów wiele jednostek wybitnie przez naturę obdarzonych warunkami fizycznymi, dla których uzyskanie doskonałych wyników — po krótszym okresie treningów — nie będzie przedstawiało specjalnych trudności. I oni jako ci wyraziciele siły i tężyzny naszego społeczeństwa, będą naszymi reprezentantami na boiskach międzynarodowych. I nie będą to jedynie ludzie wybitnie hodowani na pokaz, jak to bywało dawniej, podczas gdy większość społeczeństwa stała zdala od sportu. Świadomość tak pojętej roli sportu w życiu naszego społeczeństwa przyniesie naprawdę jak najlepsze korzyści i da jak najlepsze rezultaty.

t.



Wszędobylski dziś tłomaczy
ślub cywilny — nie inaczej



A dewotki na te racje
zrobiły manifestację



w rezultacie więc przemowy
plaster wielki na pół głowy

Organ Wojew. Domu Kultury w Krakowie. Redaguje zespół. Adres redakcji: Kraków, Dunajewskiego 1, II. piętro, telefon 565-58.
M—05426 Drukarnia I. pod Zarządem Państwowym, Kraków, Wielopole 1.